



N^o 37.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 9 września 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Na bocznym trakcie (drzeworyt). — Kronika tygodniowa. — Korespondencya z Poznania. — Przegląd polityki zagranicznej. — Korespondencya od redakcyi. — Przed Loggetta w Wenecyi (z drzeworytem). — Pojedynek szlacheńskich (komedia, dalszy ciąg). — Przejazdka po Kurlandyi (z 3 drzeworytami). — Rysunki humorystyczne Franciszka Kostrzewskiego (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Słówko o niedolach niemowlęcych. — Szewskie dziecko, powieść (dalszy ciąg). — Korespondencya z Grefenbergu. — Krucjata filozofii oświaty (dokończenie). — Sztuka włoska w epoce odrodzenia (dalszy ciąg). — Serbowie. — Wiktor Cherbuliez. — Pamiętnik młodej mężatki, powieść (dokończenie). — Stefan Lawrence, powieść.

Kronika tygodniowa.

Od niedawnego czasu krąży po Warszawie wieść o założeniu trzeciego stałego teatru. O ile

w tej wieści prawdy, nateraz jeszcze powiedzieć nie możemy, to jednak jest rzeczą pewną, że trzeci teatr w Warszawie utrzymałby się mógł z łatwością, gdyby tylko dawał przedstawienia sztuk odpowiednich. Opera, balet i dramat — to wydział teatrów dotychczasowych — dla nowego mogłaby

pozostać komedia, operetka i krotchwila, z melodramatem i wodewilem.

I byłoby bardzo pięknie z tym trzecim teatrem, gdyby ci, co grywać w nim będą (jeśli będą), porzucili tradycyą dotychczasowej pracy na deskach sceny warszawskiej. Tradycyą to niezbyt korzyst-



Na bocznym trakcie. Rysunek Henryka Pillati'ego.

na dla sztuki i dla talentów, które bynajmniej nie upoważniają artystów do słodkiego spoczynku.

Ostatnią tę uwagę nastęrczyła nam okoliczność dość smutna, że od kilku miesięcy scena warszawska żadnej nowej sztuki nie przedstawiła. Urlopy, choroby własne, żon, ojców, matek, wujaszków i ciotek tak bardzo naszym artystom w pracy przeszkadzają, że jeżeli w przyszłości utrapienia te nieustaną, to kto wie czy nowości dramatyczne nie przeniosą się stanowczo i wyłącznie do ogródków.....

Jakkolwiek przecież trupa warszawska artystów dramatycznych nie popisywała się z nowościami w ciągu lata, nadchodząca jednak jesień przyniesie ich ma liczbę wcale pokązną. Z dramatów ujrzymy: *Makbeta* Szekspira, *Złota ziarno* Zalewskiego, *Świętosława* Stachurskiego i wznowiony *Koniec Stuartów*; z komedyj: *Poślacaną młodzież* Bałuckiego, *Dworaków niedoli* Sarneckiego, *Falszywe blaski* Mellerowej, *Pojedynek szlacheckich*, drukujący się obecnie w naszym Tygodniku, *Teatr amatorski* Bałuckiego, a wreszcie w przekładzie: *Burzę w szklance wody* bluetkę, *Dwa światy* Feuillet'a i *Stryja Sama* Sardou.

Sztuki te już teraz są na warstacie, a jeżeli przedstawieni ich nie przeszkodzi jaka niespodziana okoliczność, w rodzaju tych o jakich mówiliśmy powyżej, to repertuar jesienny będzie i zajmujący, i piękny.

Pan Czarnowski otrzymał koncesyę na wydanie *Przewodnika bibliograficznego*, który ma zamiar uczynić wydawnictwem stałym. *Przewodnika* tego pierwszy zeszyt, objętości półarkuszowej, już wyszedł z pod prasy. Obejmuje on spis dokładny nowości wydawniczych i może być bardzo pożytecznym w rękę każdego, co z ruchem piśmienniczym, chociaż bardzo powierzchownie i tylko co do ilości, chce być obeznanym.

Natomiast po *Przewodniku* o którym mowa niepodobna spodziewać się korzyści istotnych dla ściślej zrozumianej bibliografii. Samo wyliczenie tytułów dzieł, imion autorów i wydawców jeszcze tu wszystkiem nie jest. Czegoś więcej potrzeba, aby bibliograficzna wzmianka rzetelną miała wartość. Nawet krótkie przytoczenie treści nie tu nie znaczy, jeżeli książki wychodzą poza zakres beletrystyki. Dopiero oznaczenie stanowiska danego dzieła w literaturze ogólnej, a zarazem wskazanie o ile ona przynosi materiał nowy, i o ile rzecz naprzód posuwa, może tu mieć naukowe znaczenie.

W każdym razie *Przewodnik* pana Czarnowskiego witamy życzliwie. Księgarni nasze tak jest ubogie w katalogi, wiadomości o książkach nowych tak bywają rozproszone bezładnie, że prosty spis ich nawet, ogłaszany systematycznie i stale, nie małe usługi i wydawnictwu krajowemu, i publiczności oddawać może.

Oto list w przedmiocie, według nas, bardzo ważnym.

„Mnożenie się pism peryodycznych, przynosząc niezaprzeczone korzyści społeczeństwu i piśmiennictwu krajowemu, w pewnym jednak względzie przynosi także i szkodę. Dorywcza praca, po większej części dziennikarska, sprawia że piszący nie mają czasu zwracać bacności na troskliwsze obrabianie swoich artykułów, a, co za tym idzie, i na język. Tym sposobem język w większej części naszych pism peryodycznych bywa tak straszliwie torturowany i dręczony, że bacniejsi czytelnicy ze smutkiem patrzą na tę dziennikarską plagę, której najlichniesze nowiny i nowinki powetować nie mogą.

„Rozumiem ja dobrze, że to zaniedbywanie czystości języka jest następstwem pracy pośpiesznej, ale rozumiem i to, że niewielkiej potrzeba staranności, aby błędów i usterek się ustrzedz. Przy dobrej woli piszących, kosztem kwadransu

dziennie, poświęconego na odczytanie tego co się napisało, język uniknąć może kalécstwa i tortury. A przytém od czegoż jest korekta, od czego korektorowie?...

„O ile jednak znam sprawy tego rodzaju, wiem że korekta w pismach peryodycznych bardzo bywa lekceważoną, a spełnianie obowiązków korektora powszechnie prawie powierza się ludziom, których nie do tego nie upoważnia. Zapewnia to wydawcom drobną oszczędność na korekcie, ale językowi wyrządza krzywdę bolesną. Otóż czyby nie należało oszczędności takiej się wyrzec, postarać się o korektorów umiejętnych, a tym sposobem wydawnictwa obronić od smutnej pstrocinny językowej?

„Sprawa to nie tak błaha, jak się zdaje panom dziennikarzom lub wydawcom, i dlatego ją poruszam. Tygodnik, który należy do pism najstaranniej strzegących czystości języka, mojem zdaniem powinien tu zabrać głos ostrzegający.“

M.

Ogłaszamy list pana M., który i naszym zdaniem dotyka sprawy ważnej. Wymagania jego są najzupełniej słuszne, że zaś zarzut kaléczenia języka ma swoją podstawę, wykażemy to może Hiedys, pomieszczając osobny artykuł o błędach językowych, w naszej prasie peryodycznej popełnianych.

Wtorkowy „Kuryer Codzienny“, mówiąc o widokach Warszawy z czasów dawnych, nadmienia że Tygodnik Ilustrowany, w dwóch ostatnich swych numerach, ogłosił dokładny ich spis, a w końcu dodaje: „Dlaczego jednak pismo to nie podało w drzeworytach reprodukcji rzadszych rycin?“

Wdzięczni jesteśmy Kuryerowi, że zwrócił uwagę na artykuł, który sobie za pewnego rodzaju zasługę poczytujemy, ale objaśnić zarazem musimy, że właśnie dwa najciekawsze z rzeczonych widoków, rytowane przez Canalettego, odtworzyliśmy w Tygodniku przed kilku jeszcze laty, o czém w samym nawet artykule o którym mowa wyraźna jest wzmianka; inne zaś ryciny, w spisie naszym przytoczone, jako mające wyłącznie wartość archeologiczną, do reprodukcji w piśmie artystycznem nie są odpowiednie.

Emigracja chłopska dała „Izraelicie“ powód do niezadowolenia. W sztuce tej główną sprężyną działania, intrygi, akcyi i wreszcie nieszczęścia łatwowiernych chłopów jest Żyd Mendel, arendarz.

Otóż „Izraelita“ dziwi się, dlaczego to koniecznie Żyd ma być owym złym duchem, sprawdzającym klęskę nietylko na jednostki, ale i na społeczeństwo. Dziwi się także, dlaczego Bartek, złodziej, podpalacz i człek do gruntu zepsuty, poprawia się i rehabilituje, a Mendel tymczasem pozostaje... Mendlem. „Izraelita“ widzi w tém tendencją złośliwą względem Żydów, którzy przecież tak samo są ludźmi, jak i nie Żydzi, tak samo więc grzeszyć i poprawiać się mogą.

Prawda!...

Jest jednakże okoliczność, wcale nie drobna, która autora broni od zarzutu złośliwej tendencji, a Mendla i jemu podobnych stanowczo potępia i poprawę ich uniemożliwia. „Izraelita“ niedawnymi czasy sam najszlachetniej przyznał, że istnienie tak zwanęj „hajzówki“ nie jest rzeczą urojoną. Możemy mu zaręczyć, że wspaniała ta instytucja nie ogranicza się jedynie do Zamościa, jak on to twierdzi. Pospółstwo żydowskie, ciemne i ubogie, w walce o byt kieruje się wszędzie w kraju zdaniem swoich rabinów, którzy stanowią dla niego najwyższy trybunał w sprawach wszelkiego rodzaju. Taki Mendel, taki Jankiel, którzy zgóry już przez rabina mają wyznaczone pole działania i ofiary, nie mogą się poprawić, bo w przekonaniu własnem nie czynią nic złego. Instytucja rabinatu popiera i uświęca ich postępowanie; rozgrzewa ich zgóry i zachęca do walki,

której tryumf, w przekonaniu tych fanatyków-spekulantów, jest tryumfem judaizmu.

A zresztą czyliż potrzeba dowodów tam, gdzie silniej od nich pouczają fakta?... Czyż Mendel jest postacią urojoną?... Prawda, że namawianie Bartka do podpalenia i złodziejstwa jest rysem zbyt ostrym, rysem nie charakteryzującym ogółu społeczeństwa żydowskiego, ale należy autorowi pozostawić pewną swobodę wyboru i rysunku, tém bardziej że w kilku ustępach dał on do zrozumienia wyraźnie, iż Mendla nie przedstawia jako typ żydowski, biorąc go tylko do sztuki jako typ miejscowy arendarza.

Niestety... „Izraelita“ nie zna widać wielu tajemnic, które charakteryzują w najsmutniejszy sposób postępowanie arendarzy, faktorów i kupców wioskowych, a bardziej jeszcze małomiasteczkowych. Hasydyzm jest u nas instytucją zajadłą fanatyczną, strzegącą się jaknajtroskliwiej wszelkiego związku ze wszystkiem, co jest postępem, cywilizacją i potrzebą społeczną. Owa hajzówka staje się bardzo silną dlań podporą, bo fanatyków przywiązuje zyskami do zabobonów i obyczaju, któryby ze wstrętem porzucić winni. Na dowód zaś że jest bardzo rozpowszechnioną, przytaczamy tu przykład najautentyczniejszy.

Dwa tygodnie temu byliśmy w majątku ziemskim, położonym o dwie mile od Warszawy. Jest tam browar, słynny na całą okolicę, a więc jest i wyrób drożdży. Rozmawialiśmy właśnie z miejscowym piwowarem, gdy wtém przystąpił doń świeżo przybyły kupiec z pobliskiego miasteczka.

— Co mi pan kupiec powie?...

— Przywożę panu pieniądze za drożdże; przytém muszę panu powiedzieć, że drożdży tych po cenie dotychczasowej brać nie będę.

— Ha!... to znajdzie się kupiec inny, co je weźmie i lepiej jeszcze zapłaci.

Starozakonny uśmiechnął się.

— Kupiec się nie znajdzie, za to ręczę.

— A to dlaczego?...

— Bo tym kupcem może być tylko Żyd, a żaden Żyd drożdży od pana nie kupi.

— Z powodu?...

— Z powodu że ja tylko mogę z panem robić interes, a innym niewolno. To rzecz urządzona u rabina.

Dzisiaj, gdy to piszemy, ten sam kupiec ma te same drożdże za cenę zniżoną. Powiedział prawdę: żaden inny Żyd propozycyę kupna słucać nawet nie chciał, lękając się gniewu rabina.

I to działo się o dwie mile od miejsca, w którym wychodzi „Izraelita“, pismo dla Żydów, pismo zacne, prawe, pragnące dobra i prawdy, ale... niezawsze bezstronne. Bo i dlaczegoż wszędzie widzieć przesadę i tendencją złośliwą?... Co do nas, jesteśmy pewni, że na przedstawieniu „Emigracyi chłopskiej“, na widok takiego Mendla, wszystkie szlachetne serca żydowskie przejmą się zgrozą i oburzeniem, a usta głościć będą moralną naukę tam, gdzie ją wygłaszać należy. I w tém widziemy jedyną tendencją Anczyca, której ani złośliwą, ani nieuczciwą nazwać nie można.

W ostatnim numerze „Biesiady literackiej“ J. I. Kraszewski, opisując cmentarz katolicki w Dreźnie, tak między innymi się wyraża:

„O kilka kroków od niego (mowa o pomniku Brodzińskiego) świeżo odnowiona mogiła, bez krzyża, bez napisu, bez kamyka... Tuśmy pochowali Romana Zmorskiego, który zmarł wyczerpany, spaliwszy się sam w sobie, w wieku jeszcze sił pełnym—ot tak—ze znużenia życiem. Gasł niemal umyślnie przez niezrozumiałą fantazyę, morząc się osobliwszą dietą i głodem, rojąc chorobę, której nie miał—siły się wyczerpać, ochoty do życia brakło... musiał umierać... Zmorskiemu należałoby się choć prosty kamień na mogile, nazwisko jego, rok zgonu—odzywamy się o pomoc do spełnienia tego obowiązku ku dawnym druhom i towarzyskom.“

Zacne te słowa jednego z Nestorów piśmiennictwa polskiego nie powinny przebrzmieć bez

skutku. Ś. p. Zmorski czynnym bardzo był współpracownikiem naszego Tygodnika, i wielu innych pism warszawskich. I na nas więc i na tych wszystkich, którzy niegdyś z pracy jego korzystali, cięży obowiązek upamiętnienia, choćby najprostszym znakiem widomym, miejsca spoczynku zawczasie zgásłego poety.

Redakcyja Tygodnika oświadcza, że chętnie przyjmować będzie najdrobniejsze nawet na ten cel ofiary. Na początek wydawca Tygodnika i redaktor Biesiady ofiarują rs. 10, redaktor Tygodnika rs. 3.

KORESPONDENCYA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Poznań, w sierpniu.

Jak zwykle w porze jesiennj, odbyły się u nas dnia 18 sierpnia ćwiczenia wojskowe pod Babimostem, miasteczkiem położonym na pograniczu naszego księstwa. Babimost, dziś nader mało znaczący, chlubi się wszakże dość dawną historją. Probstwo należy do najstarszych w dawnj Polsce. Król Zygmunt I-szy nadał miastu prawo magdeburskie i wszystkie przywileje, jakich wówczas używał Poznań. W roku 1656 Babimost został dwukrotnie przez Szwedów złupionym, w 1710 przez pomór, a w 1781 przez pożar spustoszonym. Za czasów polskich Babimost był starostwem i miał zamek starościński, już w 1307 r. wspomniany. Starostą w połowie zeszłego wieku był Biron książę kurlandzki; po nim nastąpił Piotr Potocki (później kasztelanem lubelskim mianowany), następnie do roku 1798 Łukasz Bniński. Dodać należy że proboszczem babimostskim był niegdyś sławny bibliograf Janocki, zmarły w 1780 r. Mieszkańcy trudnią się uprawą chmielu, owoców i winogrodu. W 1798 r. dobra starościńskie darowane zostały przez rząd pruski generalowi Kückritz, który je później Unruhom sprzedał. Rodzina ta, niegdyś wielce rzpltej zasłużona, by tylko wspomnieć Krzysztofa hrabiego Unruh za czasów Jana Kazimierza, lub Aleksandra dyrektora mennicy w Warszawie pod królem Stanisławem Augustem, dziś jest zupełnie w linii babimostskiej zniemczoną. Zwyczajem większych właścicieli, którzy do nazwiska swego przyłączają i nazwę posiadłości, dzisiejsi panowie na Babimostcie mianują się baronami von Unruh Bomst.

Dobiegający miesiąc przyniósł nam częste pożary, a jak zwykle w podobnych razach, rozeszła się nawet pogłoska, że istnieje tu uorganizowana banda podpalaczy. Wszakże niema co szukać innych powodów nad ten, iż przy suszy ogólnej niebacznie rzucona zapalka lub cygaro starczą nieraz, aby całą wioskę czy miasteczko w perzynę obrócić. Najsrożj dotkniętą została dotąd Święcichowa, miejscina położona na pograniczu szląckim naszego księstwa. Spłonęła całkowicie, a znani z uczciwości mieszkańcy pozostali bezdachu i mienia. Ludność jego składa się przeważnie z Niemców katolików, słynących tradycyjnie z muzykalnego usposobienia. Większa część wędrownych muzykantów z Święcichowy pochodzi. Utworzył się już komitet, celem niesienia pomocy nieszczęśliwym pogorzelncom. Ze znaczniejszych datków wspomniemy, iż cesarz przysłał już 5000 marek, a naczelny prezes von Guenther 2000, na zaspokojenie pierwszych potrzeb.

Agitacyja przedwyboreza ożywia cichą zwykle jesień; w tym roku czekają nas bowiem podwójne wybory, tak do parlamentu niemieckiego, jak i do izby pruskiej. Komitety powiatowe przedstawiają swych kandydatów komitetowi centralnemu poznańskiemu. Kandydatura ks. biskupa Janiszewskiego niemal w każdym powiecie podniesioną została, co daje nam niepłonną nadzieję, że arena zapasów parlamentarnych zabrzmi nanowo tym głosem niezrównanej siły i wymowy. Na owoych przedwyboreczych zgromadzeniach mamy sposobność przekonania się o rozwijaniu się politycznym naszych włościan, którzy z każdym rokiem nabierają więcej doświadczenia i samodziel-

nego pojęcia o znaczeniu i doniosłości wyborów. Zbierają się gromadnie na przedwstępne narady i nieraz odzywają z własnym zdaniem, częstokroć zdrowszém od innych, a udowadniającém, że tak zwany *chłopski rozum* nie jest do pogardzenia.

W dziedzinie literatury cicho i sennie. Autorowie i nakładcy zarówno drzemią pod wpływem skwarów letnich. Nie przebrzmiały dotąd wrażenia odniesione z ostatnich publikacyj p. J. K. Żupańskiego. Szkoda iż. do ślicznego i rzetelnego pamiętnika pani Skirmuntowej nie dołączono rysunku owych precudnych szachów, które powszechną na się uwagę zwróciły w czasie wiedeńskiej wystawy powszechnj. Wieloletni redaktor najprzód *Dziennika*, a następnie *Kuryera poznańskiego*, p. Teodor Żychliński, obiecuje nam w blizkim czasie pamiątkową księgę, która bliżej naszą publiczność zająć powinna. Pod tytułem: *Kronika żałobna*, p. Żychliński zebrał i uzupełnił nekrologi w swoim czasie pisane, pod piérwszém wrażeniem każdej dotkliwej w kraju lub społeczeństwie naszej straty, i te oto hołdy, na grobach składane, dziś nam w całości oddaje. Ostatnie lata tak były obfite w ciosy, śmierć tak się u nas rozgospodarowała, że *Kronika żałobna* p. Żychlińskiego stać się może rzeczywiście kroniką domową wielkopolskich rodzin.

Sławna śpiewaczka pani Lucca, objeżdżając w późnej jesieni większe i mniejsze stolice, podobno i o Poznań zawadzi. Widzieliśmy też w przejeździe do Bayreuth p. Władysława Żeleńskiego, który tu na krótką tylko wstąpił chwilę. O tytanicznych przedstawieniach *Nibelungów*, które miały być rozkwitem Wagneryzmu i podniesieniem do rzędu kultu czy religii muzyki przyszłości, nie najkorzystniejsze dochodzą nas echa. Publiczność okazała się podobno więcej znużoną, niż oczarowaną, a cały germański patryotyzm nie starczył, aby ożywić entuzjazm zmęczonych tą prawdziwą orgią tonów słuchaczy. Mimo zapewnień mistrza o odrodzeniu i utworzeniu się nowo-niemieckiej sztuki, streszczonej i wcielonej w jego dziełach, podnoszą się zewsząd w tej mierze głosy powątpiewania. Buta germańska nie ostoł się wobec ciosów, które na różnych polach odnosi. Wszakże przemysł niemiecki tak dalece przygwał w porównaniu z innymi, iż wystawę w Filadelfii nazywają powszechnie Sedanem handlu Rzeszy niemieckiej. Czyżby Bayreuth miał być Sadową jego sztuki? Nie przesądźmy co do ostatecznego rezultatu i wartości Wagneryzmu, niemniej jednak widziemy w nim nader odpowiedni akompaniament dla polityki żelaznego kanclerza.

Przegląd polityki zagranicznej.

7 września.

Dwa tygodnie trwały, a właściwie nie ustały i dotąd, krwawe walki pod Aleksinaczem. Obie strony zebrały tu najpiérwsze i najliczniejsze swoje siły, ażeby w tym pojedynku narodowym okazać światu swoje wyższość nad przeciwnikami. Świat wprawdzie dawno już wyrobił sobie zdanie pod tym względem i opinia publiczna nie od dzisiaj czeka z upragnieniem chwili, w której azyatycki despotyzm Osmanlisów przestanie być nareszcie hańbą Europy. Ale kwestye takie nie załatwiają się dotąd, niestety, siłą opinii; nie rozstrzygają się na meetingach, tylko na polu bitwy. Oręż, dotychczas główny rozjemca w sprawach międzynarodowych, przestał być w ubiegłym tygodniu łaskawym dla Serbów. Połączone dwie armie, morawska i timocka, które tak dzielnie w ostatnich dniach sierpnia odparły napaść turecką, musiały się cofnąć dnia 2 września do wnętrza twierdz aleksinackiej i deligradzkiej. Telegramy serbskie z Zimon przypisują ten smutny rezultat liczebnej przewadze Turków i nie rozpaczają bynajmniej o losie oblężonych dziś fortec. Zdaje się atoli, że przyczyny zwycięstwa tureckiego są bardziej skomplikowane, że nietylko liczba, ale i organizacyjna wyższość odegrała tu swoją ro-

lę, a także zdaje się, że doniosłość klęski serbskiej jest większą, niż to przypuszczają zbyt zaufani w siłę Serbów dziennikarze. Nie twierdzimy, ażeby cofnięcie się wojsk Czerniajewa było dla Turków wielką materyalną korzyścią, ale jest ono, bądź co bądź, znaczną korzyścią moralną i w jednej chwili zmieniło położenie strategiczne o tyle, że dziś Turcy prawie na całej linii bojowej rozpoczęli znowu ruch zaczepny. Kto wie, co znaczy taki ruch ze strony armii, wysyłającej naprzód kolumny podpalaczy i morderców, ten pojmie smutny los kraju, niemogącego złemu zapobiedz. A w tej chwili dzieje się toż samo i w Czarnogórze, dokąd Turcy z obu stron, z północy i z południa, usiłują wkroczyć z wielkimi siłami.

Jeżeli pośrednictwo pokojowe mocarstw ma na względzie nietylko interes Europy, lecz także interes ludzkości, jeżeli rządy europejskie mają choć cokolwiek na sercu los ucisnionych chrześcian na półwyspie bałkańskim, to dyplomacyja powinna się śpieszyć, bo teraz właśnie wojna doszła do kresu zaciętości i rozwoju, a każdy dzień tysiące ofiar pochłania. Lecz zdaje się że niektóre rządy, a przedewszystkiem angielski, troszczą się tylko o Europę, w ciaśniejszém tego słowa znaczeniu, właściwie zaś o siebie samych. Jakkolwiek bowiem wszystkie rządy poręczające wystąpiły z notami identycznymi w Konstantynopolu i Białogrodzie, domagając się zawieszenia kroków wojennych, to jednak owa identyczność żądań ściąga się tylko do wyjednania rozejmu, w celu położenia tamy próżnej rzezi. Pokój, choćby tylko chwilowy, będzie wszystkim na rękę. Dyplomacyja użyje wszelkich fortelów, żeby pogodzić Serbią i Czarnogórze z portą otomańską, co jej się też zapewne uda. Dwumiesięczna walka wyleczyła obie strony ze zbyt fantastycznych złudzeń. Ale ludziłby się znowu ten, kto by sądził, że ta walka nauczyła czegokolwiek gabinety europejskie. Pozostały one z pewnością dzisiaj tém, czém były przed wojną i skoro tylko poruszona będzie kwestya stałszego uregulowania wewnętrznych stosunków Turcyi, wnet wyjdą na jaw dawne niechęci i kolizye. Przed wojną trójcesarskie przymierze nie zdołało zwalczyć niechęci Anglii i musiało się zrzec na chwilę zamiarów swoich; niewiadomo czy dziś okaże się silniejszym, lub nie-

Obeenie zarówno akcyja pokojowa, jak i interwencyja na korzyść chrześciańskich poddanych Porty nie może już natrafic na takie przeszkody w Stambule, jak dotychczas. Detronizacyja i samobójstwo Abdul-Azisa, a potem umysłowa choroba Murada V, tamowały możność wszelkich działań dyplomatycznych, a wojna nie dozwalała Porcie nic przedsięwziąć, dla okazania przynajmniej dobrych chęci i uczciwych zamiarów. Teraz Turcyja pozyskała nowego monarchę, Abdul-Hamida II (młodszego brata Murada), który może nareszcie zamknie swoim panowaniem szereg rewolucyj tronowych i okaże więcej energii od swoich poprzedników. Zbyt wiele na to liczyć nie można, ale jeśli nastąpi pokój i jeśli sprawa wschodnia wejdzie znowu na drogę rokowań międzynarodowych, to zawsze rokowania te mogą być skuteczniejsze, gdy tron Wysokiej Porty zajmuje jednostka świadoma swoich celów, a może i niepozbawiona zdrowego sądu o rzeczach.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times).

KORESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Panu F. W. w Plockiem. Liczby mnogiej w artykułach literackich używają zwykle tylko redakcyje, jako ciała zbiorowe, dlatego zmieniliśmy ją na pojedynczą.

Panu W. S. w Poznaniu. Nie otrzymawszy rozwiązania, z nadesłanych zagadnień szachowych korzystać nie możemy.

Panu Józefowi T. w Warszawie. Rebus umieszczony nie będzie.

Autorom i autorkom wierszy p. t.: Rozważna miłość; — Dąb; — Kramarz wędrowny; — Skwarne lato; — Elegia; — Do mojej matki; — Do Bielan pod Krakowem; — Do poetów litewskich; — Sonet; — Przy kosie; — Elegia; — Z za Wisty; — W jesieni; — Przyjaciółce. — Utwory powyższe w Tygodniku naszym drukowane nie będą.



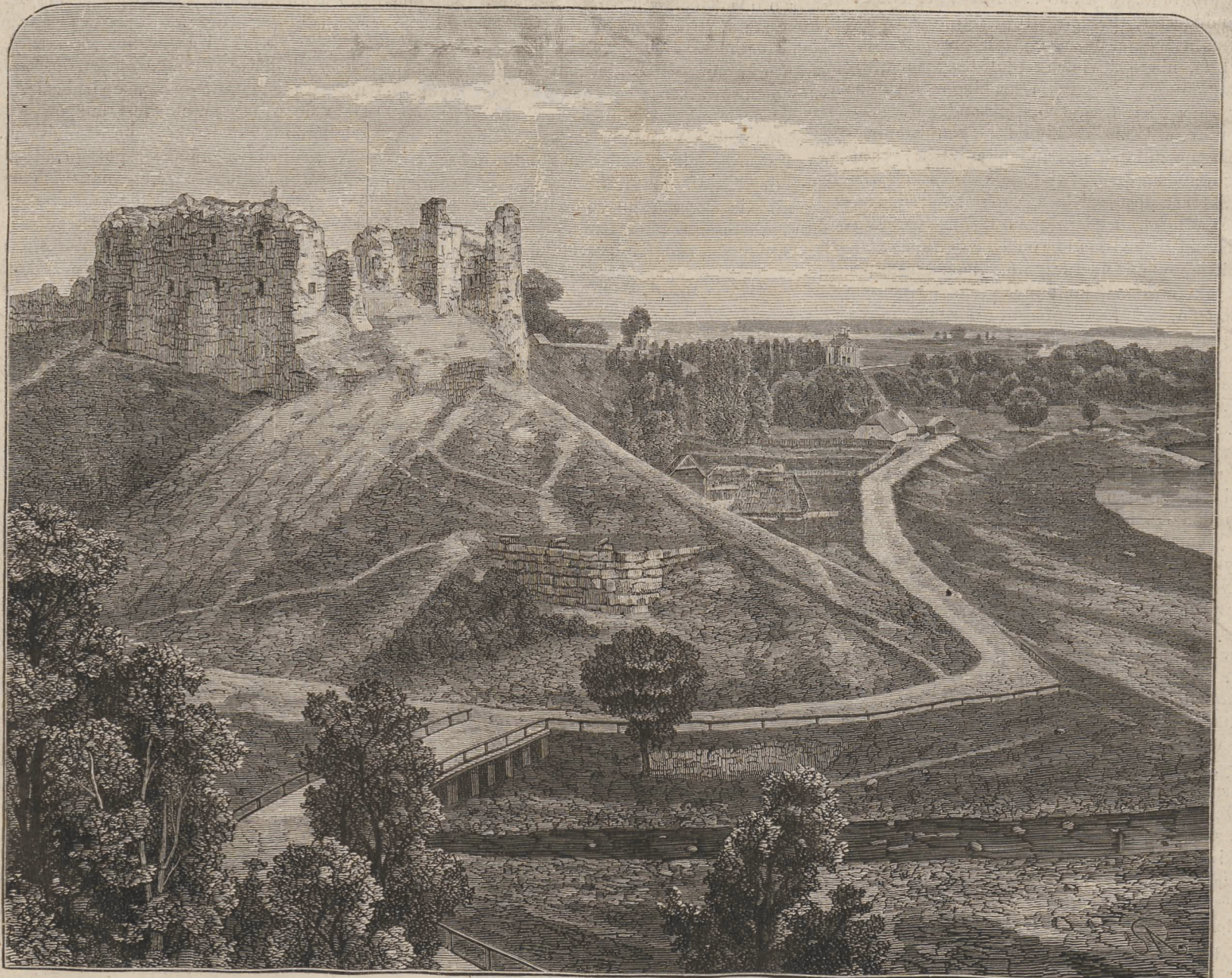
Łotysz.

215



Łotewka.

216



Zwaliska zamku w Kokenhuzen.

217



Przed Loggettą w Wenecyi. Kopia obrazu Echltera.

Loggetta w Wenecji.

Do każdej prawie piędzi ziemi, do każdego kamienia na placu św. Marka w Wenecji przywiązane są zajmujące, świetne często, a zawsze barwne wspomnienia z dziejów morzowładnej niegdysz rzeszypospolitej. Lecz i tam nawet, gdzie milczy historia, z martwych tych głazów wieje piękno wiekuiste, świadcząc wymownie o potędze człowieka, który wszystko, czego się dotknie, ożyć umie poezji technieniem.

Jednym z miejsc takich klasycznych na klasycznym owym placu jest *Loggetta* pod wieżą św. Marka, zwrócona ku *Piazzecie*, miejscu gdzie przed wiekami tracono przestępców politycznych. Nie wielka ta budowla, w stylu odrodzenia, którą w r. 1540 wznosił Sansovino, najcelniejszy z architektów Wenecji, uchodzi słusznie za prawdziwy klejnot wytwornego smaku. Osiem kolumn, z bogatymi kapitelami, tworzy cztery łuki, przedzielone wnękami, w których wznoszą się posągi bronzowe Minerwy, Apollina, Merkurego i bogini pókoju. Bronzowe wrota balustrady, arcydzieło sztuki odlewniczej, wykonał w r. 1750 Antonio Gai.

Za rzeszypospolitej *Loggetta* była miejscem pobytu jednego z prokuratorów św. Marka, który podczas posiedzeń Wielkiej rady czuwał nad bezpieczeństwem placu.

Dokoła *Loggetty* wre nieustannie tłumne i ruchliwe życie ludu weneckiego; stanowi ona niejako miejsce schadzki dla licznych próżniaków, zbierających się tam codziennie, choćby na kilka minut. Tu także odbywa się o godzinie drugiej z południa karmienie rozgłosnych gołębi św. Marka, zwyczaj od pięciu przechowywany stuleci.

Ptaki te mają także historią swoją. Niegdyś w kwietnią niedzielę z przedsionka kościoła św. Marka rzucano ludowi gołębie. Niektóre z nich, uszedłszy chwytających je rąk tłumu, poczęły gaieździć się pod gzymsami pałacu dożów i wkrótce tak się rozmnożyły, że Rada postanowiła, aby delegowany ku temu urzędnik sypał im codziennie ziarno ze śpiachlerzy państwowych. Zwyczaj ten przetrwał wieki, i dziś jeszcze każdy cudzoziemiec przypatruje się z zajęciem tej biesiadzie ptasząt, która placowi św. Marka odrębny jakiś, sielankowy nadaje charakter.

POJEDYNEK SZLACHETNYCH.

Komedia w 4-ach aktach,

ORYGINALNIE PROZĄ NAPISANA

przez

Sewera.

(Nagrodzona na tegorocznym konkursie dramatycznym warszawskim).

(Dalszy ciąg).

JULIUSZ.

Wybornie, a zatem bawmy się w przypuszczenia.

(Z prawej strony widzów ukazują się na scenie lord Harvey wraz z lordem Burghley, którzy, przyczajeni pod drzewami, nasłuchują, niewidziani przed Lidya i Juliusza.)

Scena 5.

LIDYA, JULIUSZ, LORD HARVEY I LORD BURGHLEY.

LIDYA.

A gdybym ja nie była ubogą dziewczyną, żyjącą z własnej pracy?

JULIUSZ (przeciera ręką czoło).

LIDYA (zmieniając ton głosu).

Tak sobie wyobrażamy, przecież się tylko bawimy. (Z mocą.) Gdybym była córką jednej ze starożytnych rodzin Anglii i dziedziczką wielkie-

go majątku... Juliuszu, czybyś mnie wtedy odpechnął?

JULIUSZ.

O nie, nie odpycha się tych, których się kocha... Odszedłbym sam z rozbitym sercem i złamanym życiem, odszedłbym, aby już więcej nie wrócić, zepchnięty z drogi, na której widziałem nadzieję szczęścia.

LIDYA (zamyślając się, z głębokim smutkiem).

Poszedłbyś?

JULIUSZ.

Torować sobie inną, samotną ścieżkę wśród tłumów.

NORTH (za sceną).

Poeta.

LORD (j. w.).

Romantyk.

LIDYA.

I nie obejrzałbyś się nawet za swoją Lidya?

JULIUSZ (z wyrzutem).

Czybym się obejrzał?

LIDYA.

Smutno się bawimy.

JULIUSZ (wesół).

A więc porzucmy ten temat. Ja jestem bardzo bogaty, gdyż za parę miesięcy będę mógł żonę wprowadzić do własnego domu, a moja Lidya jest bogatszą od córki lorda, gdyż potrafi pracować.

NORTH (cicho).

James, słyszysz?

LORD.

Filut.

NORTH.

On?

LORD.

Ależ nie, dziewczyna.

LIDYA.

Prawda, jesteście bogaci, bo mamy przyszłość przed sobą... Zanim jednak porzucimy ten niewesóły temat, wytłumacz mi otwarcie, dlaczego byś mnie opuścił, gdybym była bardzo majątną. (Figlarnie.) Naprawdę, bać się zaczynam. Jestem sierotą, jakaś tajemnica mnie otacza i lękam się, abym nagle nie została dziedziczką wielkiego majątku i wielkiego imienia... A czasem chciałabym posiadać jedno i drugie, dla ciebie, słyszysz, dla ciebie tylko.

(North i lord porozumiewają się niekiedy w milczeniu przez cały ciąg rozmowy Juliusza z Lidya.)

JULIUSZ.

Drogie dziecię, nie myśl o tym i nie pragnij tego.

LIDYA.

Juliuszu, powiedz mi otwarcie zdanie swoje w tym względzie.

JULIUSZ.

Pocóż mam wyszukiwać chociażby w fantazyi przepaści, któreby nas rozdzielały?

LIDYA.

Rozdzielałyby nas... i mówisz o tym tak spokojnie?

JULIUSZ.

Mówię o tym, jako o nieuniknionym następstwie.

LIDYA.

Przypuszczasz więc, że jest jakaś siła, któraby twoje Lidya...

JULIUSZ.

Przypuszczam że moja Lidya znajduje swoje zaginioną rodzinę—szczęściem dla niej, nieszczęściem dla mnie, należącą do pierwszych rodzin w Anglii. Dla mojej Lidyi otwiera się wtedy świat nowy, przyjmuje ją do swego towarzystwa, szczerze zamykając za nią koło swych stosunków... Moja Lidya, królowa salonów, ubóstwiana, posiada miliony, jest piękną i rozumną...

LIDYA (z wyrzutem).

I zapomniałaby o tobie?

JULIUSZ.

O nie! Lidya posiada stałość charakteru; Lidya nie zapomina o swym narzeczonym, który, jako ubogi, musiał zostać po za obrębem zaczerwanego koła uprzywilejowanych. Nieznany, biedny, to dosyć... Lidya wyciąga do niego ręce, wprowadza go do tego koła zupełnie mu obcego,

a on jest tyle słaby, że idzie za nią, popychany przywiązaniem.

LIDYA.

I to nazywasz słabością?

JULIUSZ.

Słabością i nędzą charakteru, gdyż od tej chwili zaczyna się upokorzenie dla nich obojga, wszędzie i na każdym kroku. Obej, wdzierający się gwałtem do towarzystwa tych, którzy uważają się za wybranych, będzie zawsze przez nich maltretowanym zimną grzecznością, uśmiechem protekty i łaski — a jego żona musi na to patrzeć i znosić w milczeniu nieożnaczone, a jednak dostrzegalne obelgi, wyrządzone człowiekowi którego kocha... Z początku oburzy ją niesprawiedliwość—lecz potem rumienić się będzie za swego męża i za siebie... Mąż jej, pozostając, straciłby godność swą, a uciekać mu niewolno!... Bo i czemu mógłby on w tym towarzystwie wyrobić sobie uznanie? Rozumem?... nie potrzebują go; do ich stosunków wystarcza im ten, który mają... Szlachetnością?... —ani jej wymagają, ani ją rozumieją. Samodzielność ich straszy, niezwykłość przeraża. Tam człowiek niknie wobec milionów lub nazwiska. A zatem jakież może być pomiędzy nimi położenie młodzieńca, który, oprócz człowieczeństwa i własnej godności, nie posiada nic więcej? (Juliusz bierze Lidya za rękę.) Lepiej więc, niech żona wchodzi do domu swego męża, bo ją tam czeka miłość, szacunek, cześć... Lecz niech nie marzy o tym, aby mąż wstępował do pałaców żony. Anomalia taka zawsze zostaje ukarana upokorzeniem.

(Lord Harvey daje sygnał lekkiem, jednorazowym świnięciem na piszczałce, którą wyjął z kieszeni kamizelki. Dwóch ludzi ze służby lorda, niepostrzeżonych przez Lidya i Juliusza, pociągu przemyka się po za drzewami przez scenę z prawej strony na lewo. Lidya, na odgłos piszczałki, wzdyga się przestraszona.)

JULIUSZ (patrzac na Lidya spokojnie).

Co to jest?

LIDYA (wstając).

Nic, nic!

JULIUSZ.

Cóż się tu dzieje? gdzie ja jestem?

LIDYA (zmieszana, żywo).

U siebie. (Poprawia się) Tak jak u siebie. Lecz, mój drogi, proszę cię i błagam, w tej chwili nie pytaj się...

JULIUSZ.

Może właściciel zamku wrócił?

LIDYA.

Niezawodnie, a nie chciałabym aby nas spotkał tutaj i dlatego proszę cię, oddal się jaknajspieszniej. Ja wracam do Peggy. Nie trać czasu... idź tą ścieżką na prawo, znasz ją, i nie pytaj się o nic. Konia Bull ci przyprowadzi. Napiszę, jutro napiszę. (Sciskając go za rękę, wyprowadza.) Do zobaczenia!

JULIUSZ.

Lidyol!...

(Lord Harvey daje sygnał podwójnym świnięciem na piszczałce.)

LIDYA.

Śpiesz się, śpiesz i kochaj swoją Lidya! (Juliusz znika, Lidya biegnie pośpiesznie do zamku. Na środek sceny wysuwają się lord Harvey i North. Lord daje sygnał trzeci potrójnym świnięciem.)

Scena 6.

LORD HARVEY I NORTH LORD BURGHLEY. PEGGY, BULL, później KIDD, LIDYA I SŁUŻBA.

LORD.

Gdzie jest Peggy?—Peggy! (Wbiega zadyszana Peggy.) Co to znaczy?

PEGGY.

To znaczy, mój lordzie, że jestem nieszczęśliwą!

NORTH.

James, słyszysz? wytłumaczyła ci że jest nieszczęśliwą. Rozwiązanie dramatu. Peggy nieszczęśliwa!

PEGGY (do Northa.)

Tak, mój lordzie—jestem nieszczęśliwą, bo kocham swoją panią i umiem ją kochać. Peggy po-

trafi kochać. (*Prędko.*) Kochałam ją, gdy miała dwa lata, gdy miała lat pięć...

NORTH.

A gdy miała lat dziesięć, kochałaś ją? odpowiadaj.

PEGGY.

O tak, mój lordzie, kochałam ją zawsze.

NORTH (*do lorda.*)

James, słyszysz?

(*Wchodzi służba, między nią kilku z zapalonemi pochodniami i lampami. Lidya ukazuje się w otwartym oknie zamku.*)

LORD (*na widok służby do Peggy.*)

Peggy, dosyć.

(*Zbliża się Bull, bierze Peggy za rękę i uprowadza ją w milczeniu, poważnie nabok pod ścianę zamku. Wchodzi Kidd w czarnym fraku, w materyjalnych krótkich pantalonach, w jedwabnych pończochach i trzewikach.*)

KIDD (*uroczyście.*)

Więzien wasz, lordowie, zatrzymany. Mimo to bezustannie się opiera — walczy jak Kokles. (*Powiedzeniu temu towarzyszy dumne wokół spojrzenie. Lidya opuszcza okno zamku.*)

LORD.

Wiązać go, wiązać, aż do pęknięcia powrozów!

LIDYA (*biegnąc z zamku na środek sceny.*)

Kto śmie wiązać wolnego obywatela Anglii w moim zamku? Kto śmie napastować mój dom i u mnie mojego narzeczonego?

LORD.

Ja, moja lady — ja, twój opiekun. Jeszcze nie jesteś pełnoletnią!

LIDYA.

Ale jestem wolną i panią u siebie, a jako obywatelka Anglii, mam opiekę praw.

LORD.

Hola! moja pani, jeżeli się odwołujesz do praw, to wiédz, że i my mamy swoje prawa za sobą.

NORTH.

Nie jesteśmy, moja lady, bez praw, powtarzam to, jako drugi twój opiekun. (*Lidya spogląda dumnie na lorda, on jej się kłania.*)

LORD.

I nie pozwolę, dopóki jestem lordem Harvey...

NORTH.

A ja North Northamptonshire Burghley...

LORD.

Nie pozwolę, aby moje siostrzenicę, córkę lorda Brougham, obrażano niegodnie w jej własnym domu. (*Do służby.*) Wiązać!

LIDYA.

Stać!

LORD.

Służba moja zna jednego tylko pana.

LIDYA (*z godnością.*)

Czy lord Harvey chce się pastwić nad rannym?

LORD.

Gdzie ranny?

LIDYA.

Strzaskane źebro.

LORD (*do służby.*)

Nie dotykać źeber.

NORTH.

Wybornie; oto co się nazywa dawać rozkazy. James, rozkazuj, ja służę pod tobą. (*Część służby oddala się.*)

LORD (*chodząc.*)

Nie pozwolę, aby obrażano córkę mego najlepszego przyjaciela i siostrzenicę moję, którą kocham jak własne dziecko.

PEGGY (*placząc.*)

I ja, mój lordzie, i ja... (*Bull usiłuje zmusić do milczenia Peggy.*)

NORTH (*uroczyście, z podniesioną ręką.*)

Kochamy ją wszyscy! Przysięgliśmy, ściskając ostatni raz dłoń szlachetnego Broughama, bronić jego córki. (*Kidd schyla głowę poważnie. To samo czynią Bull, Peggy i służba.*)

LIDYA (*drżącym głosem, nawpół radośnie.*)

A więc jesteś w błędzie, mój wuju, i ośmielę się powiedzieć że się mylisz.

LORD.

Nie myślę się, moja pani. Młody człowiek, przekładający swoje próżność i ambicję nad obowiązki, jakie na niego wkłada przywiązanie osoby

którą śmiał bałamucić (*z pasją*), jest zdrajca i przeniwierca!

NORTH.

Słuchajcie! słuchajcie!

LIDYA (*gwaltownie.*)

Mój lordzie, rzucasz obelgi nieobecnemu.

LORD.

Nie-umié on kochać, nie jest zdolny się wywyższać za ofiary, poświęcenie i miłość. Człowiek podobnego charakteru nie powinien się zbliżać do szlachetnej kobiety, gdyż w każdej chwili gotów jest ją porzucić, dla dogodzenia własnej próżności. (*Z mocą.*) Jeżeli się zaś zbliża, jest zbrodniarzem, a zbrodnia musi być ukarana.

NORTH.

Słuchajcie! słuchajcie!

LIDYA.

W każdym razie rozstrzygnięcie tej sprawy do mnie należy.

NORTH.

Mylady, nie jesteś dotychczas w parlamencie i chociaż mogłabyś zasiąść w izbie lordów, nie zasiadasz jeszcze. Więc póki ja, North Northamptonshire Burghley...

LIDYA (*z mocą.*)

Panie, powinieneś zrozumieć i uczuć, że interwencja twoja w tej chwili jest conajmniej zbytęzną.

NORTH.

James, czy moja interwencja jest zbytęzną?

LORD.

Interwencja przyjaciela ojca twojego, moja pani, i opiekuna, który cię piastował na swych rękach, nie jest, mam to przekonanie, zbytęzną.

NORTH.

A zatem jestem w swoim prawie i póki żyję, nie pozwolę na to, mylady, abyśmy razem dyktowali bill dla Anglii. (*Zwraca się do lorda.*) James?

LORD.

I ja nie, albowiem zdrajcy i uwodziciele byliby wtedy ministrami.

NORTH.

Faworyci rządząliby Anglią.

LIDYA.

Nie obrażaj pan.

NORTH.

Ja nikogo nie obrażam. James, czy obrażam?

LORD.

Nie.

NORTH.

To mnie obrażają. Czytaliście w ostatnim numerze gazety? Garstka bezzennych niedołęgów... (*Obraca się do Kidda.*) Kidd, powtórz!

KIDD (*schylając z szacunkiem głowę, poważnie i dumnie zaczyna:*) Garstka bezzennych niedołęgów, małą większością, przyczyniła się do upadku billu i tym sposobem wstrzymała, mamy nadzieję nie nadługo, tak naturalnie i logicznie należące się prawo głosowania obywatelkom Anglii. (*Kidd z dumą spogląda po towarzysztwie.*)

NORTH.

Oto język prasy liberalnej!

LIDYA (*oglądając się.*)

Gdzie Juliusz? czy mi tylko przebaczy?

LORD (*z gniewem.*)

Czy przebaczy, że bałamucić i kompromitował?

LIDYA (*z uniesieniem.*)

Mnie nikt nie jest zdolny kompromitować.

LORD (*dalej.*)

I dla własnej fantazy i ambicyi zdradza cię i porzuca. Za to wszystko chcesz go błagać o przebaczenie? Lecz o tę łaskę prosić go nie pozwolę.

NORTH.

Ha, ha, James, dziękuję ci, to mnie znakomicie bawi!

LIDYA.

Sądzę, mój panie, że bawiłbyś się jeszcze lepiej, gdybyś patrzył na tortury.

NORTH.

A jeszcze lepiej, gdybyśmy się razem znaleźli w izbie gmin.

KIDD.

W takim razie należało, mój lordzie, głosować za billem. (*Dumne spojrzenie.*)

NORTH.

Co?

KIDD.

Tak mój lordzie, należało. (*North odprowadza Kidda energicznie nabok, rozmawiając z nim. Peggy zbliża się do Lidyi.*)

LIDYA (*do lorda.*)

Więc mi pan zabraniasz widzieć narzeczonego?

LORD.

Stanowczo. (*Lidya porwyczo odwraca się z boleścią i obrażoną dumą, opiera się na ramieniu Peggy i wraz z nią odchodzi pośpiesznie do zamku. Na schodach staje, obraca się i znika we drzwiach.*)

Scena 7.

Ciż sami, oprócz LIDY I PEGGY.

LORD.

Prosić o przebaczenie za zbrodnię, że będąc młodą, piękną i bogatą córką lorda Brougham, mogąc być żoną para Anglii, poznała ubogiego chłopca, a szanując jego pychę i ambicję...

NORTH.

Wyborne wyrażenie, zgadzam się na te wyrazy: „pychę i ambicję.“

LORD (*dalej.*)

Szanując jego pychę i ambicję, tai się przed nim, ukrywa swoje stanowisko, aby tylko zdobyć jego przywiązanie.

NORTH.

Siostrzenica lorda Harvey! James, to mnie bawi, to mnie niezmiernie bawi!

LORD (*do służby.*)

Przywołać Peggy! (*Jeden ze służby wybiega. Po chwili wchodzi Peggy.*)

Scena 8.

PEGGY, LORD, NORTH, BULL, KIDD.

LORD.

Peggy!

PEGGY.

Mój lordzie.

LORD.

Gdzie zostawiłaś młodą lady?

PEGGY.

W salonie, mój lordzie, siedzi zadumana. (*Placzliwie.*) Nawet na moje prośby nie odpowiada. Gotowa pomyśleć, że to ja ją zdradziłam.

LORD (*daje znak służbie, aby się nieco oddaliła; do Peggy.*)

Kiedy i jak miss poznała dżentelmana?

PEGGY.

Kiedy i jak, mój lordzie? niełatwe to pytanie.

LORD.

Peggy, mów jasno i krótko.

NORTH.

Mów, moja Peggy, jak umiesz.

PEGGY.

Miss, najdroższa moja dziecina i pani, bywając u swoich biednych, tam zobaczyła młodego pana. I, jak zwyczajnie młodzi, jedno to, drugie owo — i poznali się. A jak się poznali, tak się tedy spotykali...

NORTH.

Bardzo naturalnie.

PEGGY.

I bardzo naturalnie, mój lordzie, że jak się spotykali, tak się pokochali, a jak się pokochali, tak się i kochali...

NORTH.

Bardzo naturalnie.

PEGGY.

Tak, mój lordzie, wszystko bardzo naturalnie. I naturalnie też że miss odwiedzała swoją mamkę w tym zamku, żonę rządzcy — i bardzo naturalnie, że była guwernantką...

NORTH.

Guwernantką — a to dlaczego?

PEGGY.

Dlaczego, mój lordzie? bo dżentelman ma być profesorem.

NORTH.

Bardzo naturalnie.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Przejażdżka po Kurlandyi, odbyta w r. 1873.

Skręślił Ścisław S.

(Dalszy ciąg).

II.

Brzeg południowy Inflant. — Kokenhuzen. — Wspomnienia. — Ryga. — Dźwina do morza. — Boldera. — Na latarni morskiej. — Morze. — Gmachy Rygi i ich przeszłość. — Mitawa, jej zamek i historia. — Jeszcze o Kurlandyi i Kurlandczykach.

W wyobraźni każdego człowieka, co nie przekroczył nigdy obszarów łąd stałego, morze bywa zwykle rozległym polem, na którym snuje nieskończoną ilość fantastycznych obrazów z większą nierównie łatwością niż na ziemi, bo po ziemi chodzi zawsze, ocięra się bezustannie o jej rzeczywistość i wszystko co na niej spotyka, przedstawia mu się powszedniem, bezbarwnym. Nic przeto dziwnego, że zobaczyć owo morze, powitać starego przyjaciela, z czytania i własnych marzeń nam znanego, jest jednym z gorących pragnień młodych podróżników.

Skoro znalazłem się w Schlossbergu, niecierpliwił mię Bałtyk, dręczyła ciekawość ujżenia owego jeziora północy. Niepogody je-

dnak trzymały mię w miejscu; aż wreszcie łaskawe bogi zsyłają mi w lipcu słońce. Nie tracąc więc czasu, przebywam Dźwinę na promie i żelaznym koniem pędzę w stronę Rygi. Postanowiłem wprawdzie pisać tylko o Kurlandyi, ale że pięknych kilka obrazów znalazłem w pobratymczych jej Inflantach, proszę mi więc darować iż oprowadzę po nich czytelnika.

Kolęj do Rygi bieży wciąż blisko rzeki prawym brzegiem, który, będąc wyniosłym, otwie-

ra prawie bez przestanku widok obszerny na kurlandzką stronę, na ciemne jej bory i porozrzucane zaścianki. Wogóle jednak ta strona Inflant niewiele pięknych posiada okolic: w miarę dopięro zbliżania się do Kokenkuzen z coraz większym zajęciem rozpatruję się dokoła, coraz ciekawiej szukam Dźwiny, która się w strome kryje brzegi, wreszcie rzucam kolęj i śpieszę dojrzyć ruiny zamku Kokenkuzen. Obecność w ziemi pokładów wapna zgadujesz tu łatwo, spojrzawszy na łąny i lasy. Ciepły grunt bogate rolnikom daje plony; wszędzie gdzie spojrzysz, olbrzymie buja żyto, owsa i jęczmienia tu-tejszego nie powstydziliby się nawet Jędrzejowskie, a co już lasy i krzewy, to jak w Sandomierskiem, przeważnie liściaste, bujne i dorodne.

Wiorstowa do ruin zamku droga dłużyc mi się zaczyna, wszystko bowiem na co spojrzę, drzewa, krzewy, zboża, czarne w dali pasmo lasów zapowiada widok niezwykły. Mijam wreszcie kościółek ewangelicki, idę od niego na prawo ponad wąwozem, którym żwirówka się wije. Przypomina on nie przepaście alpejskie, lub głębiny wąwozów tatrzańskich, ale piękne miejscowości wzdłuż szosy pod Kielcami i Chęcunami się wijacęj. Idę dalej, gdzie u stóp moich skreca się jak wąż srebrzysty Dźwina; wyzłobiła ona tutaj ko-

Rysunki humorystyczne

Franciszka Kostrzewskiego.



Za bezeen.

219

Garson. Proszę jaśnie hrabiego rešta z rubla.

Pan Alfons. Al winszujemy panu nowego tytułu.

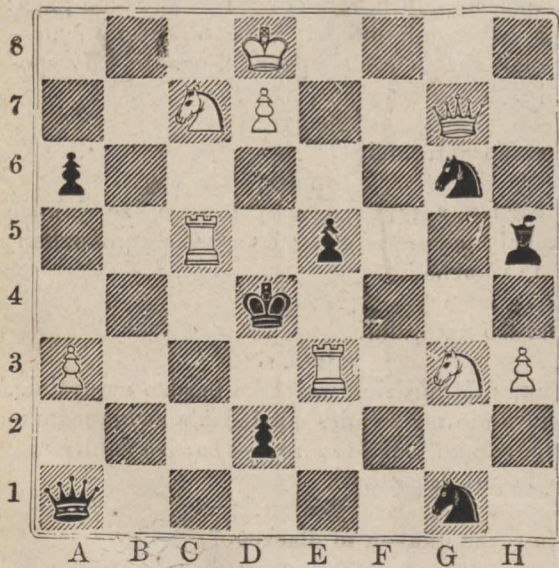
Pan Jan. Jakoś tanio mi przyszedł, nie tak jak wam, moi panowie. Ja mu zato dam złotówkę, a wasi ojcowie po kilka tysięcy guldenów płacili za tę rozkosz.

SZACHY.

ZADANIE XXXIII.

Białe zaczynają i dają mata za 4 posunięciami.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 32.

Białe.

Czarne.

- | | |
|-------------------|------------------|
| 1) C7—B8 . . . | 1) A6—A5 (a, b). |
| 2) B8—A7 biorą . | 2) B4—A4 biorą. |
| 3) C1—C4 † i mat. | |

(a) 1) B4—A5.

2) C1—C4 . . . 2) A5—B6.

3) C4—C7 † i mat.

(b) 1) B4—A4 biorą.

2) C1—C5 . . . 2) A6—A5.

3) C5—C4 † i mat!

NAKLAD JÓZEFA UNGRA.

DZIEŁO

WIKTORA TISSOT

pod tytułem:

Prusacy w Niemczech.

PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

Całe dzieło obejmuje trzydzieści cztery arkusze druku.

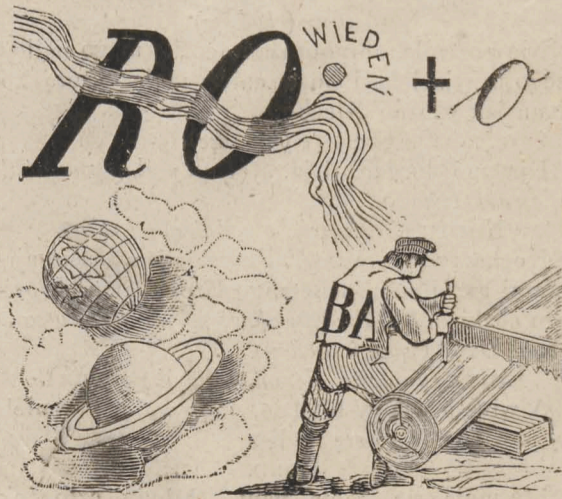
Cena rs. 1.

Uwaga. Osoby zamieszkałe w cesarstwie i na prowincyi, jeżeli pod adresem wydawcy nadeszłą rs. jeden, będą miały całe dzieło wysłane franco.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3)

REBUS.

220



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 35. Podstęp jest obrzydliwym środkiem dla dopięcia celu.

ryto w pokładach skał wapiennych, z których ścięte, prawie na kilkadziesiąt stóp wysokie brzegi, zrazu rzadko lasem porośłe, później nagie, wyglądają jak stare warowni mury. Inflancki brzeg Dźwiny przepysznym w tym miejscu przedstawia krajobraz; na lewo odemnie wznosi się z ładnym pałacem wieś Bilsteinskof, z wyniosłym bardzo tarasem ogrodowym. Przedemną cerkiewka, porozrzucane wdzięczne, schludne i zamożne domy włościan; niżej ubrana w różne czółna rzeka; za nią brzeg kurlandzki łączy również oko to zaściankiem, to lasem, to zabudowaniami folwarku. Na prawo wznoszą się wspaniałe ruiny zamku Kokenhuzen. Biegnę ku niemu, ale już drogą, która zniżą się do samej prawie rzeki i wijąc się ponad nią, doprowadza mię do stóp zamkowej góry. Wdzięram się po stromym jej boku wwyż i stanawszy na szczątku jakiegoś bastionu, znajduję się wśród wielkich, na piasku spoczywających armat. Opuszczam je i wwyż się wspiawszy, dosięgam zamku, stąpam po zwaliskach, które przez wieki szcęk broni, wrzawę rycerzy miały za rozrywkę i gościa, a dziś... zaledwie spokojny wędrowiec przerywa im ciszę. Wdrapuję się, rozgrzany wspomnieniem przeszłości, na ścianę zamkową. Krajobraz który ztamtąd widzę zda mi się stereotypowym odbiciem Czorsztyna; wszystko tu podobne, tylko na bardzo małą skalę, a zamiast Niedzicy, na kurlandzkiej stronie stoi dworek. Kręw we mnie zawrzała na wspomnienie Pienin; chciałem spróbować czy ztąd echo, tak samo jak z gruzów Czorsztyna, falować będzie po górach. Całą więc płuc potęgą krzyknąłem „Hol!“ i... struchlałem, bo pod ścianą na której stałem głos jakiś zawołał piskliwie: „Ach Herr Jel!“ Gdym się obejrzał, nagle osunęły mi się nogi, a lecąc z rozpostartymi rękami, jeszcze bardziej przerażeniem ujęte w kształt gabryeli (suknia) echo moje, które, uciekając, upadło śród gruzów. Choć potłuczony, biegnę i podnoszę piękną nieznaną (a ciężka była bardzo), kłopotząc się czem jej przytomność przywrócić; ale na szczęście uprzedza staranie moje wykrzykiem: „Ach Gott, wie Sie mich erschreckt haben!“ Serce moje przepelnia się wdzięcznością ku owiej damie, za oszczędzenie mi kłopotu trzeźwienia jej, a że mówiąc po niemiecku (stosownie do osób z którymi rozmawiam), mimo woli zawsze wpadam na temat rozmowy, który się kręci około wyrazów: *Wurst, Liebe, Herz, reine Vernunft, Thaler, Johann* lub *Bismarck*—więc i tą razą coś zawiele o *Liebe* i *Hertz* prawie musiałem, bo moja „ocuciona“ coraz to miliej wytrzeszczała na mnie swe blade-niebieskie oczy, aż wreszcie zawołała: „Ach, wie mir gemüthlich mit Ihnen die Zeit verfließt.“ Z wdzięczności za powyższy wykrzyk, schyliłem głowę ku twarzy mej towarzyski, gdy wtém za okopem rozległ się pisk dzieci, a ona, odskakując odemnie, zawołała: „Aber um Gottes willen gehen wir doch zu den Kindern!“ Brrr! a toż doznałem uczucia, jak gdyby mię kto zimną wodą oblał, tak mnie niemile uderzyło przejście tej damy z sentymentalnej marzycielki na troskliwą bonę...

Przeprowadziwszy Niemkinię do dziatwy, śpieszę w ruiny zameczyska, by przebieść myślą jego dzieje. Przez wiele, wiele wieków w zamku tutejszym różnych ludów wojacy przebywali. Najdawniej władał nim książę słowiański Wsiesław, który wszedł z przybyłymi do Infant Niemcami w stosunki; ale, mimo przyjaźni, otoczony w r. 1207 ich zastępami pod wodzą biskupa Alberta, zamek spalił i uszedł z niego do Nowogrodu, nie przypuszczając zapewne, by już nigdy do swego nie miał wrócić gniazda. Tymczasem Niemcy zamek odbudowali i wkrótce uznawszy jego ważność, krwawe o posiadanie go wojny z sobą wiedli; mianowicie arcybiskupi rygscy wciąż się o niego współubiegali z kawalerami zakonu.

I tak roku 1478 zdobył go mistrz Borg i wziął do niewoli biskupa Sylwestra Stobwassera, który tu zmarł jako więzień w następnym zaraz roku. Jednak już r. 1481 Ryżanie miasto odebrali, a arcybiskup Kasper Linde r. 1509 mury zamku dobremi działami uzbroić kazał, co wszakże nie utrwaliło jego posiadania, bo w r. 1556 został znowu przez kawalerów zdobyty, przyczem osta-

tni arcybiskup rygski margrabia Wilhelm brandenburski popadł w niewolę. W r. 1577 Rosyjanie stali się chwilowo panami jego, a w rok później posiadali go już Polacy.

W wojnach polsko-szwedzkich zamek tutejszy również ważną i bardzo krwawą grał rolę, w roku bowiem 1601, mimo dzielnego oporu samego zamku, miasto szturmem przez Szwedów zdobytém zostało, a wielu z obrońców znalazło okropną śmierć w nurtach rzeki, lub w rękach katów. Zato kiedy przybyła odsiecz, zwycięzcy straszną siekaniną Szwedów ukarali. W r. 1608 znowu Szwedzi zamek opanowali. Wzięty przez Rosyjan szturmem 1655 r., powrócił do Szwecji wskutek pokoju 1661 r. zawartego. Ostatecznie zajęty w r. 1700 przez należących do polskiej armii Saksów, za zbliżeniem się Karola XII wysadzony przez nich został w powietrze, przyczem owe olbrzymie śpiżowe działa, które na niższej leżą platformie, porzucono. Te krwawe i okrutne zapasy, których zamek był ciągle świadkiem, sprawiły że miasto samo Kukenoise, to jest Kokenhuzen, zupełnie przez mieszkańców opuszczoném zostało, a teraz nawet z trudnością poznać można jego szczątki.

W zamysleniu opuszczam te spokojne obecnie miejsca i wchodzę nie bez trudności w górną część cudownej doliny rzeczki Persy. Cóż za wspaniałe widoki! Jestem w głębokim jarze, którego boki wapienne piętrzą się stromo na 80 z górą stóp; w bokach tych tysiączne są rozpadliny, szczeliny, z których gdzieniegdzie wystrzela ponad przepaść smukła postać drzewa, indziej wieńczy ścianę skały kępa krzewów, a wszędzie różnej wielkości szumią wodospady, które, srebując się światłem słońca, przepiękny, uroczy tej dzikiej dolince nadają charakter. Idę zwolna w górę rzeczki; spady brzegów łagodnieją, pokrywają się najrozmaitszymi gatunkami drzew, których liście pod światło schylającego się słońca śliczną przedstawiają grę kolorów. Topole, lipy, brzozy, klony, złota wiązka, w tak chaotycznym a malowniczym pomieszaniu, że oczów od nich oderwać nie możesz; zda ci się że jesteś pod pięknym południem niebem i dziękujesz naturze, iż tak wspaniałym darzy cię obrazem.

Po długiej wędrowce, wracam z biegiem Persy do Dźwiny, do której ona wpada; na lewo czerwienią zameczyska mury, a przedemną szybko, nadzwyczaj szybko, mknie ku morzu Dźwina; śpieszno jej obmyć stopy Rygi, by za jej pomocą dosięgnąć morza. Ryga i morze ważną grają rolę w mojej wycieczce, rzucam przeto serdeczne pożegnanie wszystkiemu co piękne w tym miejscu, śpieszę do stacy i za chwilę, piesząc się w myśli z oglądaniem widoki, lecę na skrzydłach pary do Rygi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

S Ł Ó W K O

o niedolach niemowlęcych.

Jeżeli późniejszy wiek dziecięcy ma swoje niedole i przeciwności, to nierównie ich więcej ma właściwy wiek niemowlęcy. Dziecię wyszłe z wieku niemowlęcego ma przynajmniej swobodę ruchu i łatwość ujawnienia swoich potrzeb; niemowlę nie ma żadnej mocy wyswobodzenia się z trapiącej je dolegliwości i prócz płaczu, niczem innym swoich cierpień wyrazić, a tém mniej opisać nie zdola. Im zaś jaka istota jest bardziej bezbronna w walce, im bardziej bezporadna w usiłowaniu podtrzymania swego bytu i ochronienia siebie od przykrości, tém jej skwapliwiej z pomocą śpieszyć powinniśmy, tém czulszą nad nią rozciągnąć opiekę święty mamy obowiązek.

Ze jednak mnóstwo niemowląt, tych najmłodszych odrosli własnego naszego szczepu, tej krwi z krwi naszej, kości z kości naszych, takiej opieki nie doznaje, o tém wiec każdy, a zresztą o tém przekonywa ogromna, niemal zastraszająca ich śmiertelność. Statystyka wykazuje, że na ogólną liczbę zmarłych, połowa przypada na dzieci do

lat trzech wieku. Pomijamy już względy uczucia i serca, które przeciwko takiemu stanowi rzeczy silnie protestują, ale fakt ten jest dziwnie anormalnym i wobec wymagań prozaicznej ekonomii politycznej. Niezapominajmyż, że jednostka ludzka to cząstka siły i bogactwa narodu, to cenny kapitał, którego społeczeństwu marnie zatracać niewolno. Zrozumiała to Francya. Wstąpiwszy po ostatniej wojnie na drogę swego odrodzenia, gorąco i naseryo podjęła pytanie zapobieżenia ubytkowi ludności, i co za tém koniecznie idzie, wywołania bacznój, czynnej uwagi rządu i narodu na najmłodsze pokolenie—i w zeszłym roku pytanie to było przedmiotem bardzo troskliwych badań, rozpraw i postanowień w jej zgromadzeniu prawnodawczém i organach prasy peryodycznej.

Nie winujemy naszego społeczeństwa o brak uczuć rodzinnych. Ale że niedostateczne rozpozszechnienie i uwzględnienie zdrowych pojęć higienicznych, że zbyt uporne trzymanie się przesądów w wychowaniu fizycznym, obok nawet zachodów około dziecka, do poświęcenia dochodzących, ale w fałszywym kierunku prowadzonych, staje się przyczyną rozlicznych chorób dziecięcych—temu zaprzeczyć trudno. Nie o tém wszakże dziś mówić zamierzaliśmy, jakkolwiek o tém dużo powiedzieć się dało i jakkolwiek i tu zmiana na lepsze niewątpliwie jest konieczną. Ale są istoty o całą otchłań jeszcze nieszczęśliwsze. Tu już wszelkie rozumowanie jest niedostatecznym. Na wspomnienie o losie tych nieocenionych ofiar, groza i głęboki ból rozdziera najmińej nawet czujące serca. Są to dzieci, z którymi matki rozstać się muszą z powodu biedy i konieczności zarobku, albo zrodzone z niedozwolonych związków. Te ostatnie szczególnie ciężko pokutują za winę lub błąd swoich rodziców.

Nie jest-to niewłaściwą tolerancją, ani tém mniej rehabilitacją występku, jeżeli istoty, które nie stały się takowego winnymi, a na których jednak ciężą smutne następstwa onego, chcemy od nich uchronić. Aby rany zagojonemi były, nie tać, ale owszem, odsonić je należy. Przyjrzyjmy się tedy nieco bliżej doli niemowląt głównie ostatniej z powyższych kategorii. Matki takich dzieci, zwłaszcza na prowincyi (w Warszawie szpital Dzieciątka Jezus zło to, choć jeszcze niedostatecznie, umniejsza), oddają je kobietom tém się trudniącym, z mniej lub więcej wyraźnym, ale w gruncie zawsze szczerém życzeniem pozbycia się zupełnie i nazawsze niewygodnej zawady. Kobiety te, zaszczycone przez opinią publiczną nazwą: „twórczyni aniołków“ szanują też i wiernie spełniają wyraźną lub milczącą wolę swoich komitentek, bo dzieci im powierzone na różne zwykłe zapadają choroby i po kilku miesiącach trumienki okrywają zimne ich zwłoki. Zbrodni popelnionej na dziecięciu trudno dowieść, bo ona doraznie się nie popelnia, ale cały mniej lub więcej krótki żywot tych biednych stworzeń powolnym jest konaniem. Ze zgrozą powtórzyć mi wypada zasłyszana tu wieść, że wielu z tych nieszczęśliwych dają umierać, w ścisłym tego słowa znaczeniu, śmiercią głodową.

Kobiety, matki, obywatelki! mężowie, w których sercu tli iskierka współczucia na cierpienia bliźnich! na to obojętném okiem patrzeć niepodobna. Niewinne istoty wyciągają do was swe drobne rączki i błagają o ratunek. Wszak i one także mają prawo do życia i jego dobrodziejstw.

Nie mając pretensyi poczytywania zdania mojego za stanowcze i miarodawcze, ośmielam się jednak przedstawić pod rozwagę opinii i prasy naszej myśl następującą. Czyby niewypadało wyznaczyć u władzy pozwolenia na założenie „Towarzystwa pieczy nad niemowlętami“, z zaproszeniem do udziału głównie kobiet, szczególnież znanych ze swęj gotowości do usług dla dobra ogólnego i ze swoich cnót rodzinnych. Towarzystwo to winno rozciągnąć działalność swą na kraj cały, za pośrednictwem filij i komitetów miejscowych. O ileby środki dozwalały, urządziłoby ono pewnego rodzaju domy przytułku dla niemowląt, rozsiane po ważniejszych punktach kraju; o ileby zaś środki czasowo nie wystarczyły, rozciągałoby tylko swą opiekę nad niemowlętami, które należyte

go dozoru dla jakiegobądź przyczyny są pozbawione, wynajdując dla nich stosowne pomieszczenie, wykonywałyby ścisłą kontrolę nad kobietami przyjmującymi dzieci, jak to mówią, na mamki, utrzymywałyby lekarza, słowem spełniałyby wszelkie z nazwy Towarzystwa wypływające zadania. Nie godzi się wątpić, iż władze nie tylko nie czyniłyby żadnych przeszkód przeciwko zawiązaniu się takiego Towarzystwa, ale nawet ze strony swojej już powstałemu czynne dawałyby poparcie. (*)

O takie lub inne zarządzenie wytkniętemu złemu religia i ludzkość wielkim wołają głosem.

Ojciec rodziny.

SZEWCKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(*Dalszy ciąg.*)

— I piwo jeszcze?... patrzaj-no go!...—odezwała się baba.—Czy to ja piwo szynkuje?...

— Poszlij, pani matko...

— Chyba ciebie z kufelkiem, ale mi za kufelki czapkę w zastaw zostawisz.

— I bez czapki miałbym się na mieście ludziom prezentować?

— O, jaki mi elegant!...

— Elegant nie elegant, ale człowiek przyzwoty... Zresztą kawaler ten zostaje...

— No, no... — podchwyciła baba, odchodząc i powracając z kufelkiem — masz, zaufam ci tym razem, przez wzgląd na tego kawalera.

Pauper pochwyił naczynie i wyskoczył z niem, baba zaś, napełniwszy dwie miseczki płynem brunatnym, parę wydającym i woń łożu ronącym, postawiła takowe przed Kazim, skrzyżowała ręce na piersiach i popatrzawszy przez chwilę na chłopca w milczeniu, zapytała:

— Widzi mi się, żeś nie z cechu uliczników.

— Do żadnego nie należę cechu...—odparł zapytany—dziś dopiero przybyłem.

— Toż to i widać... i trafiłeś jaknajgorzej, bo na szubieniczników, co cię pięknie wykierują, jeździ z nimi pozostaniesz.

Kazio wypatrzył się na kobietę oczami, w których malowało się zakłopotanie wielkie.

— Pociągnęło cię do nich... he?...

— Nie pociągnęło mnie nic... Od świtu szukam brata i odszukać go nie mogę.

Baba zapytała o numer i ulicę; chłopiec odpowiedział, jak odpowiadał każdemu, co mu zapytanie to zadawał.

— Hm... — mruknęła kobieta.—Cóż zamysłasz?

— Albo ja wiem!.. Chłopiec co mnie tu przyprowadził, ma obejść ze mną wszystkie warstwy kotlarskie... Obiecał mi to...

— Obiecał?... Spuść się na niego, na tego lamparta, a dobrze wyjdiesz... Lepiej pójdz na most, uwiąż sobie do szyi kamień i skocz do wody.

— Cóż ja pocznę?...—zawołał Kazio, krzywiąc twarz, na płacz mu się bowiem zbierało.—Ja tu nie znam nikogo...

Kobieta głową wstrząsnęła.

— Jakos się temu zaradzi...—rzekła.

W chwili tej ukazał się pauper, z kufem piwa w ręku. Baba spokojnie oddaliła się do kotła i zważać się nie zdawała na małych gości swoich, którzy przypuścili atak do polówki bezimienną i miseczki wypróżnili w oka mgnieniu, dowodząc przez to prawdy przysłowia, głoszącego „że głód jest kucharzem najlepszym.“ Bohater nasz na apetycie nie szwankował, pomimo że to, co z ust baby słyszał, wprawiło go w humor nie-

najlepszy. Nie jadł jednak od rana, humor przeto apetytowi ustąpić musiał. Zmiotł talerz polówki zakąsując chlebem, i kiedy na talerzu denko zaświeciło, pauper głos zabrał.

— O!...—odezwał się.—Pod trzema koronami (była to nazwa najpiérwszej w mieście restauracji) lepiej może jeść dają, ale się smaczniej nie jada... Teraz piwem popić trzeba...

Pociągnął haustów parę i podał kufelek Kaziovi.

— Dziękuję...—była odpowiedź chłopaka.

— E... należysz może do towarzystwa wstrzeźliwości?... Tém ci lepiej dla mnie, co wstrzeźliwość wszelką mam w obrzydzeniu... Zdrowie twoje!...

Znów pociągnął, odwrotną dłoni stroną usta obtarł i zwracając się do gospodyni, zawołał:

— Kiedy hulać, to hulać... daj babo za grosz wątroby!...

— Hej, jaki mi zuch!...—odrzekła baba.—Hojny za grosze cudze...

— Cudze, nie cudze... wszystko mi jedno!... Czy mało to ja, pani matko, przyniosłem tobie krwawicy własnej?...

— Na rogach ulic wykręconej...

— Krwawo zapracowanej...

— Wykręconej—powtórzyła baba, z akcentem oznaczającym postanowienie utrzymania się przy swoim.

— Oj, krwawo zapracowanej...—odparł ulicznik—krwawo, człowiekowi bowiem krwią się serce obléwa, kiedy zmuszony jest czapkować blaznom rzucającym grosze za to, że się ich nazywa książętami i królewiczami... Serce się krwawi na myśl, jaki ten świat głupi... och!

Westchnął, nadając twarzy wyraz komicznie bolesny.

— O szubieniczniku!.. szubieniczniku!—rzekła baba.

— Tydzień temu spotykam fryca jakiegoś, zrywam czapkę z głowy, wyciągam rękę i przemaszuję: Cesarzewiczu chiński!.. grosik... On do kieszeni i złotówkę mi wetknął... Omal nie zapłakałem nad głupotą taką... tak mi się serce ścisnęło... Gdybym go cesarzewiczem nie nazwał, byłbym dostał grosz conajwięcej... O! (tu westchnął) ciężko to kpić z bliźnich w żywe oczy!... W tém pociecha jedyna, że co miałby zmarnotrawić kiej jakiś, to tracę ja... Człek przecie musi życia użyć... Pani matko!.. a wątroba?...

— Byłabym ci już dała, gdybyś był języka nie rozpuścił.

— Musiałem objaśnić kawalera (tu Kazia oczami wskazał) co do cechu, który ludzie szkalują, a do którego on należęć zapewne zechce:

— Niechże go Pan Bóg i Matka Przenajświętsza bronią!...—zawołała kobieta, stawiając na stole dwa poszczerbione talerze, okryte krajaną w plasterki wątrobą, usmażoną z cebulą na sadle bydlęcym.

— Hej! niech żyje pani Jędrzejowa!..—krzyknął pauper.—Zapomnij, kawalerze, o troskach, a zwróć uwagę całą na wątrobę.

I dał przykład z siebie. Zjadał kawałek po kawałku, maczał chleb w sosie, zgartywał cebulki, oczyszczał talerz porządnie i systematycznie, tak iż gdy go wypróżnił, mycie stało się niepotrzebnym. Pani Jędrzejowa też ulokowała go pomiędzy naczyniem, przeznaczonym na podawanie gościom. Pauper oblizal się, usta obtarł, resztę piwa wypił i rzekł:

— A no... stała dusza na mierze... Terazby się człowiek z gustem wyciągnął, ale nie można, bom się podjął brata twego wyszukać... Pójdźmy więc...

W momencie tym zainterweniowała pani Jędrzejowa.

— Idź ty...—ukazała oczami na paupra... Ten (ukazała palcem Kazia)... zostanie.

— Jakiem prawem, pani matko?

— Prawem choćby kaduka... Powiadam że zostanie, więc zostanie.

— E?... Wziąłem go przecie pod protekcję moję.

— Idź ty z protekcją swoją do licha!... a jeźeli

chcesz łaski moję nie stracić, to obejdz warstwy kotlarskie sam, wyszukaj brata jego i przynieś wiadomość o nim tu... Wyszukasz, to dostaniesz miseczkę nówek baranich na zimno, nie wyszukasz, to na oczy mi się nie pokazuj...

— Cóż ty na to?—zapytał pauper Kazia.—Pozwolisz babie po nosie sobie brzdąkać?

Odpowiedź na zapytanie to w ten wyraziła się sposób, iż pani Jędrzejowa pochwyiła Kazia za rękę, szarpnęła, w powietrze go prawie podniosła i za piec wtrąciła, a zwracając się do paupra, odparła:

— Ot i masz... Nie stój, jak bałwan na weselu, ale wynos się ztąd, zbieraj nogi za pas i obiegij miasto wdłuż, wszérz i wpoprzek.

Pauper stał jeszcze przez chwilę, jakby wahaając się co ma począć, wreszcie wstrząsnął głową i:

— Poradz tu z babami—rzekł.—Gdzie diabeł nie może, tam babę poszle... ha!...

— Wynos się, pókiś cały!...—odezwała się pani Jędrzejowa, warząc podnosząc i ku pauprowi się posuwając w postawie groźnej.

Ten susem jednym odskoczył do drzwi, zagrał babie na nosie, ukłonił się zdaleka, czapkę na głowie poprawił i oddalił się krokiem posuwistym, gwizdząc głośno na nutę piosenki:

„Precz, precz smutek wszelki!

Zapal fajki, staw butelki!

Niech wesoly, z przyjacioly, szybko plynie czas.“

Uszedłszy kroków kilkadziesiąt, począł rozmawiać sam ze sobą:

— Gdzie, u licha, znajdę jakiegoś tam czelownika kotlarskiego?... Mam go szukać?... Ot, jeszcze czego!.. Gdyby baba nie była mi fryca tego z rąk wydarła, toby mnie obowiązywał honor... o... honor, dla którego nieraz kpy sobie we lby strzelają, lub gardło podrzynają... Ponieważ jednak wydarła, honor przeto za piec wpadł, mnie zaś w zysku pozostało to tylko, że sobie podjadł co się zowie... Dobrze i to... Niechże sobie honor za piecem siedzi, a ja się udam na swoje legowisko. Jednak późno już...

Spojrzał na niebo. Słońce ku zachodowi się miało. Począł więc znów piosnkę przerwana gwizdać i wziął kierunek taki, ażeby się wynieść z ulic ludniejszych i ruchliwych na takie, na których ruchu było mało, a domy stały rzadko. Szedł, gwizdząc i przechodniom śmiało w oczy patrząc. Na widok osób kilku drgnął, lecz się nie zatrzymywał; przed jedną tylko czapkę zdjął, ale wnet ją na głowę włożył i gwizdanie przerywając, taką sobie uwagę zrobił:

— Diabli mi tam kłaniać się mazgajom i od książąt im wymyślać, kiedy żołądek pełny?... Odłóżmy to na jutro... Głupców niebrak, chwala Bogu.

Agentów władzy bezpieczeństwa obchodził zdaleka, przemykając się mimo nich w sposób taki, jakby się poczuwał do czegoś. Nagle znikł. Czy się pod ziemię zapadł? czy się w powietrze ulotnił? Nie. Uskoczył w bok, przysiadł w rynsztoku obok mostka murosowego na kanale miejskim, schował się pod mostek i wylazł po przeciwną stronę, wewnątrz ogrodu murem opasane. Oglądając się dokoła. Zoczył dwie postacie ludzkie, przesuwające się powoli w alejach. Natężył wzrok, do czego zmuszał go pomrok wieczorny i, popatrzawszy przez chwilę pilnie, w celu rozpoznania spacerującej pary, rzekł do siebie:

— Romansik... pil.. Niech sobie zdrowi romansują, my tu poczekamy, aż się ściemni.

Położył się za krzakami berbersy i w niebo się wpatrzył. Na niebie jedna po drugiej występowały gwiazdki. Ogród napełniała woń różana i jaśminowa. Zdała dochodził gwar miejski, a w pobliżu szemrał wodotrysk wśród basenu marmurem białym wyłożonego. Szmer ten głużył niekiedy szelest sukni kobiecych i stapanie pary przesuwającej się tuż obok leżącego paupra, do uszu którego dochodziły wyrazy rozmowy w urywkach. Rozmowa atoli nie obchodziła go wcale. Nie zważał na nią. Nie zmieniał pozycji, aż usłyszał odgłos pocałunku.

(*) Uznając ważność poruszonej tu myśli, otwieramy chętnie szpalę naszego pisma wszelkim w tym przedmiocie uwagom. (Przyp. redakcyi.)

— Al.. — rzucił się i bokiem się położywszy, głowę na dłoni oparł.

Para przeszła.

— Pocałowali się... Rzecz ciekawa czy w gębę?..

Podniósł się wpół, usiadł, rozchylił krzaki berbersu i głowę w nie wetknął.

Para spacerująca obchodziła basen z wodotryskiem, wyglądając zdaleka, jak dwa cienie oludzi-kiej postaci, odbijające na tle cieniów rzucanych przez konary strzyżonych w szpaler drzew, przesu- wające się powolnie w pomroku nocnym. Cienie te, zrazu oddalając się od czatującego paupra, następnie zbliżać się poczęły. Chłopak wzrok i słuch nateżył i usłyszał niebawem szelest sukni, wtórujący następnym, głosem męzkim mówionym wyrazom:

— Niesprawiedliwą jesteś względem mnie, Ewelino... Poniżanie ciebie nie powstało nigdy w intencjach moich...

— Przyznaj sam jednak, pozory... — wtrącił głos niewieści.

— Pozory!.. — podchwycił mężczyzna. — Nie zatrzymuj się na pozorach, wnikiwaj w istotę rzeczy... Wierz mi, nie robię nic bez namysłu, nie bez powodów... Ot i to, że zwracam się do ciebie obecnie, nie jest bez powodu, tkwiącego w głębi serca mego... Kocham ciebie...

— Kocham ciebie i ja... — odezwała się kobieta — gdybym nie kochała...

— Tak... — były słowa mężczyzny. To też czuję się w tej chwili tak szczęśliwym, jak wówczas, pamiętasz? kiedyś z ust twoich po raz pierwszy wyraz ten usłyszałem... Luba moja!.. żono moja!..

— Cmokną się... — szepnął pauper.

Para atoli przeszła, bez urzeczywistnienia do- myśłu ulicznika.

— H... — rzekł sam do siebie. Nieciekawa jakaś historia... Cóż odgrzewanego... Jeżeli się nie mylę, jest-to hrabianka, co kiedyś tam za mąż wyszła i męża porzuciła, a teraz zapewne z nim się godzi... Nie obchodzi mnie to... Ważniejsze mam na głowie sprawy, aniżeli romanse hrabianek, niemających do czynienia nie lepszego... Była tylko czuła ta para rychłą z drogi mi zesła, bo chciałyby już na legowisko się dostać.

Położył się napowrót za krzakami berbersu. Czuła para, na którą nie zważał już wcale, przeszła mimo niego razy jeszcze kilka i odeszła w końcu do widnego za drzewami domu piętrowego. Wówczas on, zapewniwszy się że w ogrodzie niema nikogo, wstał, do muru się zbliżył i wzdłuż muru idąc, a niekiedy się zatrzymując t ucha nadstawiając, pod sam dom podszedł, pod zom, który miał przed sobą podwórze, żelaznemi dsachetami od ulicy odgrózione i dwoma pawilonami ozdobione. Chłopiec do muru przytulony, tak że go rozpoznać nie było można, szyję wyciągnął i przez czas jakiś rozpatrywał się w podwórzu, na które dwie w bramie stojące latarnie światło rzucały. W podwórzu było pusto i cicho. Chłopak przez odgradzające ogród niskie sztachety przeskoczył i w chwili tej pies warknął.

— Tsss... — syknął ulicznik.

Pies ogromny, z rodzaju brytanów, wylazł z budy, brzęcząc łańcuchem, i usiadłszy na łapach tylnych, zwrócony ku pauprowi, przyjaźnie ogonem kiwał. Tęże chwili pauper skoczył i do budy się wsunął. Pomiędzy nim a psem nastąpiła wymiana grzeczności, jak pomiędzy przyjaciółmi dwoma. Znali się snadź. Pauper psa głaskał po grzbiecie i pod brzuch, pies paupra lizał i uszami do niego strzygł. Karesy te trwały chwilę, po upływie której ulicznik, zreknoskowawszy raz jeszcze podwórze, z budy się wysunął, do wznoszącego się po za nią pawilonu przystąpił i po rynnne blaszanój na dach onego się dostał. Drapał się niby kot. W jedno okamgnienie już był na dachu, na którym doczołgał się na brzuchu do okienka i wlał przez takowe na poddasze sianem napełnione. Pawilon ów była to stajnia, na poddaszu której trzymano siano dla koni. Panowała tam ciemność jaknajzupełniejsza. Pauprowi jednak jak się zdaje, o jasność nie chodziło bynajmniej. W siano się zaszyl, razy parę się ruszył i wnet snem kamiennym zasnął.

Bohater nasz, któregośmy u pani Jędrzejowej

za piecem zostawili, miał nocleg bez porównania gorszy. Przez wieczór cały przypatrywał się i przysłuchiwał gościom, którzy zakład spożywczy odwiedzali, i nie opuścili go zupełnie, aż około północy. Zaledwie więc o wpół do pierwszej udać się mógł na spoczynek — i to jaki? Pani Jędrzejowa pozwoliła mu wybrać sobie do położenia się bądź ławę, bądź stół, bądź też podłogę, co mu się lepiej spodoba.

— Prześpij się... — mówiła, odchodząc — nie zostajesz sam.

W zakładzie nocowali posługacz i pies.

W ten więc towarzystwie, na twardój i wazutkiej ławie, z węzłkiem pod głową, spędził Kazio noc, spał jaknajgorzej — spał jednak — i zbudził się równo ze świtaniem dnia na odgłos wołania, które go przeraziło. Było to bowiem wołanie gromkie a grube.

— Hej!.. ano!.. Dosyć się tam wylegiwać!.. Do roboty!..

Słowa te stosowały się do posługacza, a wychodziły z ust człowieka jakiegoś groźnej postaci, w zielonej kurcie i płóciennym fartuchu, z miotłą pręcianą w ręku. Chłopak równemi zerwał się nogami.

— A ty kto?... — krzyknął człowiek z miotłą, ujrzawszy go.

I odpowiedział sobie sam, jakby w przypomnieniu znalazł odpowiedź, która zabrzmiała przeciągłym: aaa!..

Nastąpiło zmiatanie zakładu i kiedy czynność ta, która z godzinę czasu zabrała, ku końcowi się miała, pojawiła się najprzód posługaczka, a wkrótce po niej pani Jędrzejowa. Za ukazaniem się tej ostatniej, człowiek z miotłą oddalił się. Posługacz i posługaczka przystąpili do oczyszczania naczy- nia. Pani Jędrzejowa zwróciła się do Kazia.

— Cóż — zapytała — z założonemi stoisz rękami?.. Próznowanie jest grzechem... Pan Bóg nie na to człowieka stworzył, żeby się przypatrywał, jak pracują drudzy... Złóż węzełek swój w kacie, zakasaj ręce i weź się do pomywania...

Rada ta takim wygłoszoną została tonem, że miała minę rozkazu, rozkazu którego niespełnienie wydało się bohaterowi naszemu niemożliwem. Uważał że za nocleg wywdzięczyć się należało. Bez najmniejszej więc opozycji zateczył od ku- braczka rękawy i przy szafliku stanął, obmywając wiechciem miski i talerze, które dziewczka jedne na drugich składała, podczas gdy posługacz przy kotle coś robił. Robota przy pomocy Kazia poszła żywo, co pani Jędrzejowej zadowolenie sprawiło.

— O! — odezwała się. — Zarobiłeś na śniadanie... Tym samym porządkiem zarobić możesz na obiad, podwieczorek i wieczerek, nie licząc dodatków, co się na talerzach zostają... Będziesz się szanował, to będzie ci dobrze.. A jak ci na imię?..

— Kazmirz... — odparł chłopak.

— O!.. niebrzydkie ci imię dali... wyglądasz też na chłopca niczego... Nie będziesz gościom posługiwał, aż się przypatrzysz i przyuczysz...

Ze słów tych miarkować można, że pani Jędrzejowa zagięła, jak to się mówi, na bohatera naszego parol. Chłopak jednak nie domyślał się niczego. Z umysłem swobodnym pełnił powierzoną sobie czynność, pomagał posługaczce przez dzień cały i naprózno wyglądał przybycia paupra z wiadomością. Przyszedł wieczór, noc nastąpiła, znów na ławie się przespał i znów do roboty stanął.

W ten sposób upłynęło dni kilka.

Chłopiec kilkakrotnie zbierał się przedstawić pani Jędrzejowej, że nie po to przybył, ażeby do pomywania naczyń służyć, nie mógł jednak odważyć się z przedstawieniem tém wystąpić. Groźna baby mina strachem go przejmowała. Nie śmiał z zakładu się wydalić, ażeby się w mieście nie zgubić. Nie wiedział co począć. Naczynie przemyczał i tęsknem okiem ku drzwiom spoglądał, spodziewając się przyjscia ulicznika, z wiadomością o bracie.

Nadzieja nie zawiodła go.

Wygładany a oczekiwany przyszedł nako- niec.

Przyszedł, Kazio do niego poskoczył i chciał

pytać; nim atoli usta otworzył, pani Jędrzejowa rzuciła mu zapytanie:

— A ty tu poco?..

— Po baranie nóżki na zimno, pani matko.. — była paupra odpowiedź.

— Poco?... he?... Dam ja ci tu wnet nóżki baranie!.. — krzyknęła baba i z warząchwą naprzód się posunęła.

— Ależ ja znalazłem...

— Ach ty, urwipolciu! szubieniczniku... nie wyniesiesz mi się ztąd?..

Pochwyciła za ożóg, natarła na ulicznika i ten musiał stół przeskoczyć, ażeby się bez szwanku salwować. Uciekł. Wkrótce jednak znów się w drzwiach ukazał i szarmancko zdaleka babie ukłony słał, drażniąc ją przytém rzucanemi od niechcenia frazesami, treści następującej:

— Znamy się, pani matko, na sztuczka!.. Zrobiłaś, babo, z gęby cholewę!.. Złapałaś ptaszka w samotrzask, trzymajże go, żeby nie odleciał!.. spraw mu fartuszek i czapeczkę z bibuły!..

Pani Jędrzejowa w irytacji wielkiej pokilkakrotnie odstraszała ulicznika, ten atoli ustawicznie powracał i, progę nie przestępując, ciskał jój do- wecipy różne uszczypliwe, obelgi nawet, które zakończył propozycją następującą:

— Chcesz, pani-matko, na rozum ze mną pogadać, to się możemy ułożyć.. Odstąpię ci dudka za psie pieniądze i będziesz go sobie trzymała, póki sama zechcesz... To moje słowo ostatnie... No?..

Baba w rozdrażnieniu najwyższem postąpiła ku drzwiom z ożogiem. Ulicznik pokazał jój na palcach tak zwaną rzodkiewkę, ukłonił się i znikł.

— Szubienicznik!.. — stęknęła pani Jędrzejowa, chustkę na głowie sobie poprawiwszy, i do- dała, zwracając mowę do Kazia: — Widzisz, co to ja cierpię z powodu twego!.. obyś się jeno odwdzięczyć mi umiał!

Następnie gadała jeszcze długo, bardzo długo, zniżając głos stopniowo, aż się uspokoiła w końcu i opamiętała. Opamiętanie odnosiło się do ostatnich ulicznika wyrzów. Baba zmiarkowała że głupstwo popełniła, odpychając bezwarunkowo proponowany układ. Pocieszała się jednak nadzieją.

— Przyjdzie on jeszcze — mówiła do siebie. — Zatkam mu gębę wątroba i będzie milczał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOESPONDENCYA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Freiwaldau-Grefenberg, w końcu sierpnia.

Niniejsza korespondencya moja może komu wydać się spóźnioną, ale nie jest taką, ze względu na tutejszy obyczaj: ciągle bowiem jeszcze przy- bywają goście kąpielowi i kuracya wodna obecnie w pełnym znajduje się rozkwicie.

Grefenberg, ojczyzna Prysznica (Priessnitz), którego imię, niby jakiego Poseidona bożka wód, nieodłącznie sprzęgło się z tym żywiołem i unie- śmiertelnionem zostało u nas w nazwie pokojowe- go przyrzędu kąpielowego, zwanego tu „duszą“ — jest-to góra na 1950 stóp nad morze wzniesiona, na której Prysznic ufundował swoje zakłady. Pa- smo gór, do którego ta wyniosłość należy, nosi miano „Geschenke“ i jest odnogą Sudetów, a z dru- giej strony łączy się z górami Olbrzymiami (Riesengebirge). Wysokość szczytów wszystkich tych łańcuchów, rozciągających się w południowym Szlązku, na granicy Czech i Morawy, rzadko przenosi 2000 stóp. Prześliczne lasy pokrywają wierzchołki gór, a boki ich są uprawne; tu i o- wdzie tylko sterczą nagie skały i wyniosłości bez- lesne, zwane „Koppen“ (zapewne ze słowiańskiego *kupa*). Grefenberg i rozłożone u stóp jego miasteczko Freiwaldau, z kilkoma przyległemi wsiami, leżą w Szlązku austryackim, blisko gra- nicy Szlązku pruskiego, a mianowicie hrabstwa

Glatz (kłodzkiego), obfitującego w niemniej od tutejszych malownicze widoki i w źródła mineralne, jak Landek, Cudowa (właściwie Chudoba) i wiele innych. Kraj tu już całkiem zniemczony, choć oprócz wymienionych, i wiele innych jeszcze nazw miejscowości świadczy, że pierwotnie był słowiańskim. Tak n.p. dwie rzeczulki przerywające Freiwaldau nazywają się Biela i Staritz—oczywiście Biela i Starzyca. Dalej ku Opawie (Tropau) ludmówi po czesku, czyli raczej po morawsku; i tu nawet, w Freiwaldau, język czeski figuruje, jako półurzędowy, obok niemieckiego, ale nie słyhać prawie nigdzie tej mowy.

Wracając do Grefenbergu, od którego niniejszą korespondencją zacząć mi wypada, sama miejscowość, to jest sam szczyt góry, na którym mieści się zakład Pysznica, nie przedstawia się zbyt uroczo i ustępuje pod względem piękności widokom okolicznym, szczególnie z drogi do Freiwaldau, a nawet samemu temu miasteczku. Cudzoziemiec, spodziewający się znaleźć tu wspaniałe gmachy, gwar właściwy słynnym i licznie uczęszczanym zakładom kąpielowym, albo też wytworność, przepych, podobne do panujących np. w czeskich kąpielach (w Karlsbadzie, Maryenbadzie i t. d.), również zawiedzionym zostanie; budynki tu skromne, nawet w stylu zupełnie niesmacznym; stary drewniany dom kąpielowy poczeriał ze starości, restauracje (oprócz znajdujących się w Kurhauzie, odznaczających się piękną salą) skromne, wszędzie dość cicho i prawie ubogo. Wielki budynek, zwany Kurhauzem, mieści w sobie łaźienki, zarząd i wspomnianą salę dwupiętrową. Źródeł zato ogromne mnóstwo, i to źródła zupełnie czystej i zimnej wody, którą obficie oblewają się wewnątrz i zewnątrz przebiegający szybko bez kapeluszy pacyenci. Zwłoki Wincentego Pysznica (zmarłego w 1850 r.) spoczywają w dość ubogiej kapliczce, na fotografiach daleko piękniej wyglądającej, niż w rzeczywistości. Rodzina przechowuje klucze od tej kapliczki; w tych dniach jakiś ksiądz chciał tam mszę odprawić, ale go nie dopuszczono, o co podobno wytoczyła się sprawa aż na drogę sądową. Tu i owdzie wznoszą się skromne pomniki na cześć Pysznica, z napisami w różnych językach.

W Grefenbergu, czyli raczej na Grefenbergu, jest mieszkań dla 400 osób. Rzadko też bawi tu więcej osób; obecnie jest około 300, z których kilkadziesiąt mieszka w okolicznych wsiach, w tak zwanej Kolonii, w Böhmischdorf i w miasteczku Freiwaldau. Lista kuracyjna wykazuje do 12 sierpnia przybyłych 580 partyj, czyli 980 osób, ale to od samego początku sezonu, to jest od maja; z tych dwie trzecie już wyjechało. Jedna z gazet szląskich („Silesia“, wydawana nakładem księgarza Prochazki w Cieszynie) widzi w tegorocznym gronie gości tutejszych charakter „wschodni“ (oriental), co jakoś niezbyt jest dla mnie zrozumiałem, bo niema tu ani Persów, ani Turków; chyba że wysoko narodowa Silesia, z właściwym kulturtregerem przekazem, zalicza do „oryentalnego“ żywiołu dość licznie zgromadzonych tu Polaków. Sporo tu także, jak i wszędzie, niezmiernie o swoje zdrowie dbałych Izraelitów; z tych niektórzy chodzą w długich swych ubiorach, istotnie Wschód przypominających, ale takich niewielu. Przed dwoma tygodniami dużo narobił hałasu pojedynek, który nastąpił z powodu zatargów o niespokojne zachowanie się i zakłócanie w nocy spokojności sąsiadom. Jednym z zapaśników był Polak, student Z. z Galicyi, drugim jakiś urzędnik pruski, ale rozumiejący po polsku. Pan Z. wyszedł bez szwanku. Prusak zaś został raniony. Pojedynek odbył się na gruncie pruskim, a żandarmerya austriacka (jak czytamy we wzmiankowanej gazecie Silesia) poprzestała na zrewidowaniu przeciwników: bronii nie znaleziono, tylko pudełko z bandażami, jak opiewa gazeta; pomimo to pojedynekowi nie przeszkadzono i broń się znalazła pod ręką.

Miasteczko Freiwaldau, okolone górami i lasem, przedstawia prześliczne miejsca przechadzki, jak tak zwany Josephgarten i wyżej park miejski, do którego wejście niezbyt stronne, z urzędzonymi gęsto dla spoczynku ławeczkami. Josephs-

garten, to dzieło bogatego kupca i fabrykanta tutejszego Reimana. Jest-to osobistość w Freiwaldau dominująca: ogromne jego fabryki wyrobów lnianych i przedalnie zajmują obszerną przestrzeń i głównym są źródłem zarobku dla miejscowej ludności. Rozmaite przejścia około fabryk są albo „surowo wzbronione“ albo „dobrowolnie otwarte“ (freiwillig geöffnet), jak głoszą dosyć komiczne napisy. Obok zakładów Reimana, dochód od gości kąpielowych stanowi drugie źródło zarobku. Ponieważ wiele osób zamieszkuje w miasteczku, używa się też i tu kuracyi wodnej i w każdym prawie domu są do tego potrzebne przyrządy. Kraj i lud w ogólności ubogie: cześć dla grosza przybiera czasem aż wstrętne rozmiary, témbardziej że ludzie tutejsi, w ogólności mało okrziesani i gburowaci, dla pieniędzy niefortunnie chcą grzecznych udawać. Żebrakow moc wielka, szczególnie w piątek.

W Freiwaldau w ogólności życie kosztuje tanio, w Grefenbergu znacznie drożej. Jeżeli zwążywszy, że z Warszawy do Freiwaldau podróż kosztuje od 9 do 12 rubli na osobę, a tu namiejsu koszt wygodnego życia nie przenosi 40 rubli miesięcznie—to doprawdy możnaby zalecić to miasteczko jako miejsceltnego wypoczynku, zamiast letnich mieszkań pod Warszawą, albo gdzieindziej w kraju naszym. Toż przecie za 9 rubli nie dojedziesz u nas do Ojcowa, ani do Kiele, ani choćby do Nowego-miasta, a gdy pod Warszawą za pokój letniego pomieszkania trzeba zapłacić kilkadziesiąt rubli i to koniecznie *na całe lato* (dziki zaprawdę obyczaj), tutaj można mieć pokój z wszelkimi wygodami za 3, a nawet za 2 ruble na tydzień. Nie mówię już o różnicy powietrza i o innych wygodach: tutaj za pieniądze można mieć wszystko, a u nas, *antiquo more*, trzeba się wozic z pościelą, a dbałej usługi i znośnego jedzenia trudno się doprosić. Dopóki tak będzie, wszelkie stereotypowe, corocznie w pismach naszych pojawiające się kazania o niepotrzebnej podróży, wywozeniu za granicę pieniędzy i t. p. pozostaną tylko tradycyjnym komunałem, o ile ta nagana ściągą się do osób potrzebujących nie już nawet kuracyi, lecz tylko świeżego powietrza i odpoczynku. Jeżeli w odległym o 19 godzin drogi koleją Freiwaldau można spędzić kilka tygodni nieskończenie wygodniej i bez porównania taniej, niż pod Warszawą lub gdziekolwiek w kraju—to względ ten czyni powyższą dyskusję zbyteczną.

Ponieważ o kuracyi grefenberskiej, jako rzeczy powszechnie znaniej, mówić nie mam zamiaru, na zakończenie więc niniejszego listu poświęcę słów kilka innego rodzaju kuracyi, o której, jak mniemam, u nas mało kto słyszał. O godzinie drogi od Freiwaldau leży wieś Lindewiese, a w niej zakład leczenia suchemi bulkami, inaczey kuracyi głodowej, zwaney także kuracyą naturalną. Wynalazcą tej metody był Jan Szrot, prosty wieśniak, podobnie jak i Pysznic. Rabiąc raz w lesie drzewo, Szrot zadał sobie przypadkiem głęboką ranę w kolano. Lekarze, do których się udał, leczyli go długo i bezskutecznie; rana stawała się coraz to niebezpieczniejszą, aż nareszcie jakiś mnich poradził Szrotowi poprzestać na okładach z wody i na stosownej dyecie. Jakoż usłuchawszy tej rady, prędko wyléczył się zupełnie.

Zastanawiając się nad własnym uleczeniem i pragnąc przynieść podobną ulgę innym cierpiącym, Szrot doszedł do przekonania, że wszelkie lekarstwa bezwarunkowo są szkodliwe, bo choć czasem przynoszą chwilową ulgę, ale zostawiają w organizmie zarody późniejszych chorób, i że należy przyjść tylko w pomoc leczącej sile samej natury. Pomoc zaś ta zależy jedynie na regulowaniu temperatury krwi, której zbytne rozgrzanie lub oziębienie jest przyczyną wszystkich chorób, a mianowicie należy utrzymywać w ciele wilgotne ciepło, które jest zbawienne zarówno dla roślin, zwierząt i ludzi, jak opiewa jedna z maksym Szrota, który lubił wypowiadać krótkie aforyzmy, ni by podstawy swojej metody (In feuchter Wärme wächst Holz, und Stein, und Fleisch, und Bein). Owo więc ciepło wilgotne, a zarazem chłodne, otrzynywane przy pomocy okładów z zimnej wody, ma być radykalnym środkiem na wszystkie

choroby zapalne, z gorączką połączone, tak wewnętrzne, jak zewnętrzne. W dalszym rozwoju swjej teoryi Szrot dostrzegł, że gorączka wogóle, byle tylko nie dochodziła zbyt wysokiego stopnia, sprowadzającego śmierć, jest zbawiennym aktem leczniczym samej natury. W chorobach chronicznych nie można poprzestać na okładach, lecz należy wywołać gorączkę, a ponieważ gorączka połączona bywa zwykle z suchością i pragnieniem, należy więc sztucznie podtrzymywać suchość i pragnienie, a to przez używanie pokarmów suchych wyłącznie roślinnych (najlepiej *suchych bułek*) i powstrzymanie się od napojów, albo używanie takiego napoju, który wewnętrzną gorączkę podtrzymuje, to jest wina. Jednocześnie okłady miarkują tę sztuczną gorączkę i zapobiegają choć w części męczarniom pragnienia. Przy takim postępowaniu wychodzą jakoby z organizmu wszelkie zepsute soki i materye. Organizm pierze się niejako, niby bielizna, a suszy się przez parowanie, wewnętrznym ogrzewaniem sprawione. Kuracya taka rozwija się stopniowo i trwa czasem po roku i dłużej; najwyższy stopień wymaga zupełnego wstrzymania się od napoju i spożywania wyłącznie tylko suchych bułek w ciągu 3 dni, poczem czwartego dnia wolno pić wino. Jest-to tak zwany *dzień picia* (Trinktag); następnie znowu 3 dni *suche* i 4 dzień *picia* i t. d. Co kilkanaście dni następuje *pausa*, to jest częściowa przerwa w kuracyi; wolno wtedy spożywać nieco mięsa i kompotów, a po kilku dniach pauzy rozpoczyna się nanowo surowa kuracya. Skutek ma być niezawodny. Powiadają że tylko rak i rozwinięte suchoty opierają się tej kuracyi, we wszystkich zaś innych cierpieniach nie było przykładu, aby kuracya Szrota zaszkodziła. Jeżeli chory czuje się źle i gorzej, jedyny sposób... przedłużyć kuracyą aż do skutku.

Z tego krótkiego przedstawienia widać, że metoda Szrota ma w sobie coś z homeopatyi i coś z metody Pysznicowskiej (co się tyczy okładów), różni się wszelako radykalnie od tej ostatniej tćm, że zabrania kąpeli, że działa przez ciepło, a nie zimno, i jest przeciwną picciu zimnej wody, której używanie nawet ludziom zdrowym w życiu codziennym jaknajbardziej radzi ograniczyć. Bądź co bądź, kuracya to heroiczna i trzeba być chyba niezmiernie do życia i zdrowia przywiązanym, ażeby poddać się dobrowolnie męczarniom głodu i pragnienia, które, zwłaszcza w początku, są nie do wytrzymania. Powyższe szczegóły wzięłem z broszury Flotowa: Die Naturheillehre nach Johann Schroth (Berlin 1874); więcej wiadomości i wyczerpujących wskazówek znaleźć można w dziele dra Kypke p. t. Die diätetische Heilmethode ohne Arznei i t. d. w 2 tomach, które wyszło 1874 roku, w 35 wydaniu. Należy przyznać, że nieco zaufania do tej metody wzbudza już ta okoliczność, iż propagujący takową bynajmniej nie zalecają chorym podróży do Lindewiese, ani używania rady tego lub owego „Szrotowskiego lekarza“; owszem, wyraźnie zwolennicy metody szrotowskiej powiadają, że kuracya ta czyni zbytecznym wszelkiego doktora i wszelką podróż kuracyjną; można i należy odbywać ją w domu. Zakład w Lindewiese, prowadzony obecnie przez syna założyciela, Emanuela Szrota, zwiędza rocznie niewięcej nad 100 chorych. Zwykła medycyna oczywiście niezbyt przychylnym okiem patrzy na metodę Szrotowską; powiadają lekarze, iż jest ona jednostronną przesadą, że całe postępowanie opiera się na niezmierniej wytrwałości ludzkiego organizmu i jest niejako zabawką w akcyą i reakcyą. Coś podobnego i o wodnej kuracyi mówi zmarły niedawno słynny doktor Bock, który przy końcu życia wystąpił jako stanowczy przeciwnik lekarstw i lekarzy, a nawet wód mineralnych i kąpeli.

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

Krucjata filozofii oświaty.

Przyczynek do stuletniego obchodu ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

II.

(Dokończenie.)

Wice-admirał d'Estaing pochodził ze starej burgundzkiej rodziny. Jako pułkownik piechoty, służył on w Indjach i oblegał Madras, pod dowództwem Lally-Tolendala (w r. 1759). Wzięty w niewolę przez Anglików i wypuszczony na wolność za kaucją, sądził że ją poprostu w skutek wymiany jeńców odzyskał. Uzbroił więc dwa okręty wschodnio-indyjskiej kompanii francuskiej, zbogacił Francją łupem z rozmaitych faktoryj angielskich w zatoce perskiej i na wyspach Zunda i—powtórnie wpadł w ręce zwycięzców z pod Madrasu. Ci zaś, bez namysłu, obeszlę się z pułkownikiem d'Estaing jako z gwałcicielem praw wojennych, jako z korsarzem i rozbójnikiem, i bez wielkich zachodów osądziły go na szubienicę.

W ciemnym więzieniu w Londynie oczekiwał jeniec swojego losu. Tymczasem delfin francuski dowiedział się o nieszczęściu hrabiego d'Estaing i stosunkami swojemi powtórnie na wolność go wydobył. O tym-to odważnym d'Estaing przypomniał sobie rząd francuski w krytycznej chwili, w której trzeba było straszemu nieprzyjacielowi na pełnym morzu stawić czoło, i byłego oficera piechoty mianował dowódcą eskadry, która miała wspierać działania Amerykanów, blokować ujście Delawary i tym sposobem generała Howe od morza odciąć, a marsz Washingtona na Filadelfię zasłonić. I pułkownik piechoty skutecznie się ze swojego zdania wywiązał, chociaż niezaraz; strach angielskiego więzienia i wspomnienie przeżytych w nim niepokojów zrobiły swoje: rozwinęły jego zdolności marynarskie i dodały bodźca jego wojownicznemu zapalowi.

Dnia 8 lipca flota francuska stanęła w przystani Sandy-Hook; wojska angielskie z pośpiechem opuściły okolice Filadelfii. Na nieszczęście, gwałtowna burza zmusiła eskadrę francuską do cofnięcia się z pod Rhode-Island—gdzie flocie angielskiej bitwę wydać chciała—dalej ku północy, do Bostonu. Anglia triumfowała znowu. Sprawa Ameryki zdawała się zgubioną. Washington musiał się wszędzie cofać przed przemagającymi siłami Anglików; w kongresie zapanowała niezgoda i zamieszanie, naród przeklinał d'Estaing'a, na którego zwalano główną winę niepowodzenia. Wszędzie słyhać było tylko przekleństwa rzucające na Francją, tylko niesłuszne skargi na przymierze, o które się przecież tak usilnie przedtem ubiegano.

Jeden tylko Washington nie podzielał tych zarzutów. Wyższy nad namiętność ziomek swoich, pisał on do wice-admirała d'Estaing: „Zasoby tak podniosłego umysłu, jak waszej ekscelencji, i przymioty wielkiego generała, w nieszczęściu daleko świetniej występują na jaw, aniżeli wśród zwycięstwa. Żywioły mogły wprawdzie wydrzeć panu powodzenie, ale nie są wstanie umniejszyć sławy, która ci się należy.“ A pisząc do Lafayette'a, tak się wyraził wódz amerykański, boleśnie postępowaniem narodu swego dotknięty: „Boli mnie to, kochany mój margrabio, boli mnie to ze względu na ciebie, ze względu na naszych dobrych i wielkich sprzymierzeńców, Francuzów, i ze względu na moją ojczyznę. Ale jakże tu, pod rządem wolnym i republikańskim, głosy tłumu powściągnąć? Każdy chce tam mówić tak jak myśli, a raczej bezmyślnie; każdy chce sądzić o skutkach, nie zważając na przyczyny. Zarzuty, czynione ofi-

cerom floty francuskiej, należałoby raczej zwrócić do amerykańskiej, gdybyśmy ją byli mieli. Zapomnij pan o przykrościach, które i tobie wyrządzono, i uczyni wszystko, proszę cię o to jako przyjaciel, aby w interesie obu narodów zgodę przywrócić.“

Potomność zawsze jest sprawiedliwą. Z równym podziwieniem wspomina ona o mężu, który list ten pisał, jak o młodzieńcu, do którego był pisany.

Tymczasem d'Estaing popłynął do Antyllów, gdzie dotkliwie Anglikom zrzucił szkody. Później, 9 października 1779 r., posilkował amerykańskiego generała Lincolna, przy szturmie na miasto Savannah w Georgii. Wprawdzie śmiały ten atak, w którym Francuzi i Amerykanie szli o lepsze w walce, został ostatecznie odparty, jednak i Anglicy ciężkie ponieśli straty i bardzo słabo tylko ścigali Lincolna na terytorium południowej Karoliny. D'Estaing sam otrzymał dwie rany i na pokładzie „Languedoc“ powrócił do Francji.

Tam też, w końcu lutego tegoż roku, przybył i Lafayette, z ramienia Kongresu, aby wyprawę zapewnionego traktatem z 6 lutego 1778 r. korpusu posilkowego przyspieszyć. Zbieg z r. 1777, który za nie ważył sobie pogroźki własnej rodziny i gniew samego króla, teraz stał się celem powszechnego uwielbienia;—wszędzie, we wszystkich warstwach społeczeństwa, wzbudzał zapal nieopisany, a rząd, na jego przedstawienie, oświadczył się z gotowością przyjścia w pomoc sprawie amerykańskiej nową eskadrą, złożoną z siedmiu okrętów liniowych, dziesięcio albo dwunastotysięcznym korpusem wojska i sześciu milionami liwrów w gotówce. Głos publiczny wskazywał Lafayette'a na dowódcę tej wyprawy; ale margrabia, jakkolwiek imię jego stało się już głośnym, zamłodnym był jeszcze na to, a posiwili w bojach generałowie nie byliby chętnie słuchali oficera, który niedawno temu zbiegł z metzeńskiego garnizonu. Tak przynajmniej myślało ministerium, a Lafayette tak mało miał miłości własnej, że uprzedził decyzją rządu w tej mierze, oświadczając zgóry, iż nie przyjąłby dowództwa, gdyby mu je ofiarowano, i że wraca pod rozkazy Washingtona. Jakoż 18 lutego 1780 r. odplynął z Rochefort na fregacie „Hermionie“, a 28 kwietnia w Bostonie wysiadł ponownie na ląd amerykański.

Dowództwo nad posilkowemi wojskami francuzkimi otrzymał hrabia Rochambeau. Pięćdziesiąt pięć lat wtedy liczący generał-porucznik Jan Chrzeciel Donatier de Vimour, hrabia de Rochambeau, urodzony w Vendôme w r. 1725, nie raz już miał sposobność odznaczyć się w polu i licznymi ranami stwierdzić swoje męstwo. Był to ten sam Rochambeau, który później, w czasach teroryzmu, już chciał wstępować na wóz odwożący ofiary poświęcone gilotynie, gdy go kat z temi słowy odepchnął: „Zostań, stary marszałku; na ciebie później przyjdzie kolej.“ Na szczęście jego to „później“ nigdy nie nadeszło—Robespierre upadł.

Nareszcie 16 kwietnia 1780 r., po wielu jeszcze rokowaniach, po usunięciu licznych trudności i wątpliwości, podniosła wyprawa kotwicę w przystani Bertheaume, gdy wtém przeciwnie wiatry zmusiły ją do pozostania jakiś czas jeszcze w miejscu, tak że dopiero 3 maja wypłynęła na pełne morze. W sztabie generała znajdujemy cały szereg najznakomitszych imion szlachty francuskiej.

Tak więc idee owiej francuskiej filozofii oświaty, niosące w sobie zarody nowego ładu w stosunkach i sprawach ludzkiej społeczności, jeszcze przed upadkiem starego rzeczy porządku wywalczyły sobie zwycięstwo niezmiernie doniosłości, które tém większe miało znaczenie, że nawet same sprzeczne żywioły do faktycznego zna-

nia przewodniej myśli nowej ery zmusiło. I to też właśnie tylko chcieliśmy podnieść w tym pobieżnym szkicu epoki dziejów powszechnych; dokładniejsze skrócenie przebiegu wojny amerykańskiej o niepodległość nie było naszym zamiarem. Kończymy więc krótkim wspomnieniem wielkiego zwycięstwa, które Washington, wspierany przez flotę francuską pod dowództwem Grasse'go, odniósł d. 19 paźdz. 1781 r.—o kapitulacji angielskiego generała lorda Cornwallisa pod Yorktown. Na tém właściwie zakończyła się wojna. Niepodległość amerykańskich osad była wywalczona i w pokoju prowizorycznym z 30 listopada 1782 r. tymczasowe, a w traktacie 20 stycznia następnego roku, w Paryżu przez Franklina podpisanym, stanowcze znalazła uznanie. Krucjata nowych idei święciła pierwsze praktyczne i wielkiego znaczenia odniesione przez siebie tryumfy!...

Sztuka włoska w epoce odrodzenia,

przez M. Carrière'a.

II.

Rozkwit sztuki włoskiej.—Leonardo da Vinci.—Michał Anioł, Rafael, Correggio, Tycjan.

(Dalszy ciąg).

Panuje tu, jak w dziejach świata, moralny porządek; Boska wola wskazuje każdemu jego miejsce i choć przytém każdy samoistnie wybiera i wypełnia swą rolę, to przecie wszystkim kierująca wewnętrzna potęga zebranych jednoczy. Wskutek takiego właśnie połączenia prawidłowości z wolnością, charakteru postaci zlewają harmonijnie w sobie typowość i oryginalność z ogólnie ludzkimi rysami i indywidualnością. Są to ludzie których gdzieś i kiedyś napotkaliśmy w życiu, rzeczywiste, żyjące postacie, jakie sztuka włoska tworzyła od czasów Masaccia i Ghirlandaja, jednakże zarazem pełne tej wzniosłości i siły, ku wydatnieniu których zmierzała starożytna sztuka chrześcijańska. Tu jednak typy tradycyjne posiadają ciało tętniące życiem i piętno chwili. Widnieje to w ubiorach postaci i układzie szat, a przytém artysta umyślnie użył światła dziennego, w miejsce nocnego, tudzież europejskiego zwyczaju siedzenia, zamiast orientalnego leżenia przy stole, by niczem nie raził naszych pojęć i dozwolić, byśmy mogli czuć i ocenić całą scenę według pojęć teraźniejszości. Nie chciał tu Leonardo poświęcać istoty rzeczy, jej znaczenia i wyrazu, dla zewnętrznego przybrania. Po prawej stronie Chrystusa Jan, pogrążony w smutku, nachyla się ku Piotrowi, który po za plecami Judasza na niego wskazuje trzymanym w ręku nożem, jakby chciał utopić ostrze w piersiach zdrajcy; szczegół ten charakteryzuje gotowość do działania w energicznym apostołe i tłumaczy przerażenie malujące się na twarzach innych uczniów. Jaki przepyszny kontrast stanowi ostro narysowany i na ciemnym tle trzymany profil Judasza, w zestawieniu z pełnym dziewiczego wdzięku obliczem Jana! Po lewej stronie Zbawiciela przerażony Jakub, jakby przepaść przed sobą zobaczył, podczas gdy po za nim Tomasz podnosi palec, grożąc bezwątpienia Judaszowi, Filip zaś powstał i nachyla się ku mistrzowi ze złożonemi na piersiach rękami, jak gdyby chciał swe serce otworzyć, dla pokazania iż niema w niem fałszu. Obok siedzący Mateusz, wskazując obu rękami na Jezusa, prowadzi rozmowę z siedzącym na końcu stołu w zamysleniu Szymonem; pomiędzy nimi gorączkowo wzbudzony Tadeusz. Przy drugim końcu stołu Bartłomiej, powstawszy, przysłu-

chuje się i spogląda na Piotra i Jana; Andrzej z burzeniem cofnął się w tył, a po za nim Jakub młodszy spokojnie i łagodnie kładzie rękę na ramieniu Piotra, łącząc tym sposobem grupę do której należy ze środkową i zamykając nieprzerwanie biegnącą linią falistą. Wśród tego naprężenia i wzburzenia ogólnego, Chrystus, ze spokojem i świadomością swego posłannictwa, przedstawia uosobienie miłości, oddając się na ofiarę, Cichy smutek i żal zlekka się maluje na jego obliczu, które obok całego majestatu Boskości i wierności tradycyjnemu typowi, nie przestaje być ludzkim. W taki sposób utworzył Leonardo jedno z największych arcydzieł dramatycznego malarstwa, oddając na usługę wspaniałemu pomysłowi całą dzielność techniczną i umiejętnę władanie wszelkimi środkami sztuki. Prostota w pomowaniu życia i genialny błysk natchnienia złączyły się tu harmonijnie z rozważnym namysłem i najstaranniejszym wykończeniem. Trudno powiedzieć, czy nieświadomie tworząca fantazyja, czy też samowiednie kształtujący rozum brał większy udział w wydaniu tego dzieła.

W początkach XVI stulecia spotykamy Leonarda znowu we Florencji, oddanego świeckiemu historycznemu malarstwu. Otrzymał on, wraz z młodszym od siebie Michałem Aniołem, zlecenie przyozdobienia sali Rady w pałacu rządowym obrazem przedstawiającym jedną z bitew pamiętnych w dziejach Florencji; obaj też nakreślili kartony, które nie zostały wykonane, choć mimo to u współczesnych najwyższe znalazły uznanie i przez całe pokolenie nadrastających artystów cenione i studyowane były jako arcydzieła, stanowiące epokę w dziejach sztuki. Niestety, oba kartony zaginęły, czy też uległy zniszczeniu. Karton Leonarda oglądał jeszcze Rubens i ocalił w kopii grupę czterech rycerzy, walczących o chorągiew. Niepodobna silniej i ogniściej przedstawić wojennego roznamiętnienia wśród zbliżającego się rozstrzygnięcia szalonego boju; nawet dwa konie kłapią się wzajemnie. Mimo zamętu, nieodłącznego od sceny napaści i odporu, wszystkie szczegóły występują tu z całą symetrią i jasnością przed oczy widza; drzewce chorągwi już połamane i sztandar wpadnie za chwilę w ręce Florentczyków. Grupa ta prawdopodobnie znajdowała się po lewej ręce, na przednim planie. Notata własnoręczna Leonarda o zwycięstwie, jakie Florentczycy odnieśli nad Medyolańczykami pod Anghiari w dniu 29 czerwca 1440 roku, wskazuje iż artysta za główny przedmiot obrazu wybrał bój o posiadanie mostu. Wspomina przytém w tej notatce, że gdy partryarcha akwilejski ze wznieścionymi ku niebu rękami błagał Boga o zwycięstwo dla Florentczyków, ukazał mu się św. Piotr w obłoku. Gdybyśmy umieścili te postacie po prawej stronie, to pogoń za pokonanymi Medyolańczykami przypadłaby na drugi plan, w środku obrazu. Prawdopodobnie „Walka Amazonek“ Rubensa i „Bitwa Konstantyna Wgo“ Rafaela są odbiciem studyów nad tym kartonem Leonarda.

Liczne odtworzenia Rodziny świętej powstały zapewne podług planu i wskazówek Leonarda, a z jego ręki otrzymały ostateczne wykończenie. Prześliczną idyllą rodzajową jest obraz przedstawiający Maryję siedzącą na kolanach matki i wyciągającą rączki ku chłopięciu, które chce wsiąść na jagnię, jak na konia. Pełną romantycznego uroku jest znowu święta Dziewica w skalistej pieczarze, z widokiem na rzekę, wijącą się wśród stromych skał. Maryja kłęczą; Chrystus w niemowlęcym wieku siedzi przy źródle obrośniętym kwiatami, koło niego stoi anioł, a naprzeciw Jan, jako dziecię. Na innym znowu obrazie Maryja trzyma na prawym kolanie Chrystusa, który się bawi z małym Janem; po obu stronach obrazu dwaj mężowie przyglądają się tej scenie. Realistyczna strona talentu Leonarda, odbijająca się w pełnej sily charakterystyce powyższych dwóch męskich postaci, wybornie tu jest zestawiona z idealistycznymi dążeniami, jakie przedstawia grupa świętej rodziny; rysy Maryi mianowicie noszą piętno doskonałej piękności i przy całej słodyczy i szlachetności wyrazu, wolne są od tego

uśmieszku, jaki niekiedy u twórcy „Wieczerzy“, a najczęściej u jego uczniów, spotykamy.

Wpływ Leonarda był tak silny, że szkoła medyolańska starała się naśladować zarówno myśli, jak formę i technikę swego mistrza; w sile jednakże nikt mu nie dorównał, a łagodny uśmiech jego postaci przybrał u następców charakter powabnie kuszący. Najlepsze jednak prace tej szkoły zachycają nas swym wdziękiem i delikatnością światłocieni, odpowiadających tak bardzo duchowemu ustrojowi postaci.

Najznakomitszym z uczniów Leonarda był Bernardino Luini, nieporównany w odtwarzaniu błogiej szczęśliwości. Jego freski z życia Maryi w kościele św. Maurycego w Medyolanie i w kościele w Saronno, tchną tak powabną czystością i prostotą naiwnego uczucia, obok harmonii linii i barw, że przypominają młodzieńczy okres Rafaela. Raz nawet w wielkim obrazie męki Zbawiciela w Lugano udało się Bernardowi Luiniemu stworzyć samoistną dużych rozmiarów kompozycją, tchnącą porywającym poletem. Maryja zmartwiała niemal pod wpływem cierpienia; Magdaleną wpadła w stan ekstazy; Jan tylko jeden jaśnieje zapalem i ufnością w zwycięstwo, jakie Chrystus nad śmiercią odniesie. Tutaj dopiero uczeń stał się mistrzem; układ tylko postaci nie przedstawia tej harmonii, jaką u Leonarda sprawia zlanie się architektonicznej symetrii w układzie, ze swobodą indywidualnego rozwoju każdej postaci.

Marco d'Oggione, Andrea Sulaino, Francesco Melzi i wielu innych poszło śladami Leonarda; Cesare de Sesta przeszedł do szkoły Rafaela, Gaudenzio Ferrari zaś zwrócił się ku przesadnej fantastyczności i jaskrawym efektom.

Leonardo ukazał nam wielostronne uzdolnienie, konieczne tak dla harmonijnie doskonałego człowieka, jak i artysty. W Michale Aniele ukazuje się nam samopotęga i swoboda indywidualnego ducha, tudzież rodzima siła geniuszu, z całą wspaniałą podniosłością. On także posiadał wszystkie techniczne środki, bogate dziedzictwo stulecia, lecz szafował niemi według swego upodobania. Gdy Leonardo w przedstawieniu pomysłu umie zachować całą godność i wdzięk właściwy przedmiotowi, to Michał Anioł wciela w niego przedewszystkiem gwałtowną potęgę i energią własnej istoty w śmiałych i wspaniałych formach, nadając każdej linii piętno własnego uczucia. Gdy Leonardo da Vinci, rozmiłowany w obiektywizmie, uważa za występki niemal artystyczne, gdy ten usiłuje obce postacie upodobnić do siebie, Michał Anioł, przeciwnie, zatopiony w subiektywizmie, nietylko że tego nie gani, lecz odtwarza własnego ducha znamiona w swych utworach. Taki Mojżesz na przykład przedstawia dosadne odbicie charakteru samego artysty, przy najmniej w głównych swych rysach. Żaden męt, żaden dogmat go nie krępował; z tradycyi przyjmował to tylko, co odpowiadało jego usposobieniu, a pod technieniem zapалу znajdował i tworzył nowe formy. Śród boleści i walk wewnętrznych powstawały jego pomysły, ażeby świat wstrząsać i podnosić, nigdy zaś aby schlebiać masom. Utwory te wtedy tylko zrozumiemy, gdy dojrzymy, jak w nich objawiały się walki i cierpienia wielkiego, szlachetnego ducha. W tej przewadze subiektywizmu leży główna różnica między rzeźbami Michała Anioła, a utworami starożytniej plastyki; zamiast majestatycznej ciszy i spokojnej piękności ostatnich, spotykamy tu namiętnie rwącą się i niespokojną potęgę. Z początku rzeźbiarstwo stanowiło główne pole działalności wielkiego mistrza, który następnie dosięgnął szczytu genialnej potęgi w malowidłach kaplicy Sykstyńskiej, by w starości wreszcie pokazać się nieporównanym architektem w planie kopuły św. Piotra. Co jednak stanowi piętno charakterystyczne Michała Anioła, to skojarzone działanie trzech sztuk, widoczne we wszystkiem co tworzył. Poezja napełniająca jego duszę nietylko objawiała się w formie więszowanej, lecz kierowała dłutem i penzlem artysty. Żyjąc w epoce przewagi malarstwa nad innymi sztukami, starał się Michał Anioł w swoich budowach osiągać te potężne

malarskie efekta, które u naśladowców w yrodziły się w ciężką, niesmacznie przeładowaną manierę. Taką samą malowniczość układu przedstawiają jego dzieła rzeźbiarskie. W tych ostatnich, podobnie jak i w postaciach fresków, spotykamy prawdziwie architektoniczną wielkość; linie piękna z trudnością obejmują te olbrzymie, demonicznej potęgi ciała, wywołujące jedynie wrażenie podniosłości. Przytém zarówno w statuach jak i w obrazach lubi on architektoniczne uzupełnienia i dlatego też ściany kaplicy sykstyńskiej pierwiej odpowiednio przygotował i architektonicznie na części porozdzielał, nim rozpoczął je pokrywać malowidłami. Właściwe mu upodobanie w nagim ciele, pewność ręki w modelowaniu ludzkich form i wynikająca ztąd wypukłość i pełność kształtów tętniących życiem, nadaje jego obrazom niezmierną plastyczność: ztąd nazywa on malarstwo sztuką najprzedniejszą i najbliższą rzeźby stojącą. Plastycznością swych postaci (Sybille, Prorocy) góruje twórca Mojżesza nad Rafaelem, któremu ustępuje pod względem malowniczości w ugrupowaniu postaci w kompozycjach o wielu figurach. Staranna skończoność olejnego malarstwa, którego Leonardo nawet do ściennych malowideł używał, nie przypadła do talentu Michała i nazywał on ten sposób malowania kobięcim malarstwem, gdyż fresk tylko jeden był, według niego, godzien ręki męża. Tu jedynie może być owe śmiałe, szybkie i dobitne pociągi penzla, jakich wymagał rodzaj jego talentu; tu jedynie mógł oglądany w duchu pomysłu przybrać formę bezpośrednio widzialną. Należy mu się słusznie wdzięczność za to, że w kaplicy Sykstyńskiej usunął ze swego rusztowania pomocników w pracy, że nie poprzestawał, jak to zwykle bywa, na przygotowaniu kartonu, z którego na ścianie obce ręce robiły kopię jedynie, lecz „sam, jak lew samotny“ wykonywał całe arcydzieło. Jak wybornie umiał odsuwać w tył dalsze plany, jak dzielnie posługiwał się siłą i harmonią barw, o tém może się przekonać każdy, kto zwiędza kaplicę Sykstyńską. Zalety te nie są jednostronnemi, lecz służą do spotęgowania duchowego wrażenia całości. Zamknięty w sobie, niewzruszony wróg pospolitości, twórca nowych form, przedstawił nowych idei, stoi on samotny, jak wszystko co podniosłe, na wysokim piedestale. Tam gdzie czuł słusność po swój stronie, stawał zacięcie przeciw przeszkodom i nie dawał się nikomu ować; przytém wszystkiem był wolnym od wszelkiej zawiści i samolubstwa. Pozostałe listy świadczą, jak, pomimo oddalenia, pozostał troskliwą głową rodziny, jak pamiętał o ojcu, braciach i synowcach. Miłość synowska, z jaką sławę swą i tryumfy składa u nóg swego starego ojca, jest prawdziwie wzruszającą i daje najpiękniejsze świadectwo o dobroci serca i znacności ducha wielkiego artysty. Wzruszającym jest doprawdy list, w którym, już wtedy osiemdziesięcio-dwuletni starzec, donosi Vassaremu o śmierci swego służącego. „Więcie że Urbino umarł. Przez to wyświadczył mi Bóg wielką łaskę, ale z wielką dla mnie stratą i z nieopisaną boleścią. Łaska polega na tém, iż jak on za życia utrzymywał mnie przy życiu, tak śmiercią swą nauczył, iż trzeba z upragnieniem, nie zaś z niechęcią, wyczekiwać zgonu. Miałem go przez 26 lat u siebie i znalazłem w nim człowieka rzadkiej wierności, a wtedy właśnie, gdy go uczynił bogatym i spodziewałem się znaleźć w nim pociechę i podporę mój starości, zeszedł z tego świata, pozostawiając mi jedynie nadzieję zobaczenia się z nim w niebie. Że tam się dostał, to wnosić mogę ze szczęśliwej śmierci, jaką mu Bóg zesłał. Nietyle żałował on życia, ile smucił się tém, że mnie zostawia samego z tyloma troskami, wśród zdrackiego świata. Większa część mego ducha wraz z nim uleciała.“

Victoria Colonna powtarzała, że samego Michała Anioła daleko wyżej stawia, niż jego dzieła, że ci którzy tylko te ostatnie widzieli, a nie znają ich twórcy, wielbią to, co jest w nim najmniej doskonałego. Goethe pisał z Rzymu w ten sposób o twórcach mistrza: „Jestem tak przez niego opanowany, że natura po jego dziełach nie wydaje mi się powabną, ponieważ nie mogę na

Serbowie.

ZARYS ETNOGRAFICZNY.

nią patrzeć tak wielkimi jak on oczami. Wewnętrzna pewność i mężkość mistrza, jego wielkość nie dają się dostatecznie wyrazić. Nie umiem wypowiedzieć jakbym pragnął, byście mogli mieć pojęcie o tém, czego jeden człowiek, zupełny człowiek, może dokonać. Nie widząc kaplicy Sykstyńskiej, nie mamy żadnego pojęcia o tém, co może duch ludzki. Czytamy i słyszymy o wielu wielkich i dzielnych mężach, lecz tu dopiero czujemy potęgę tego człowieka dotykalnie przed naszymi oczami. „Carus z powodu powyższych słów zauważył, że Michał Anioł był jednym z tych ludzi, u których duch i uczucie są tak przepelnione i wielkie, iż z trudnością nadarza się im możliwość udzielania się drugim; muszą oni zamykać się w sobie i ten przymus właśnie nadaje im owę surowość, która zniewala do ugania się za tém, co nieprzystępne i gwałtowne. Mistrz sam powiada: „Niech świat cały okazuje się unizonym dla tego co nieszlachetne, niech świadczy cześć temu co małoduszne, nigdy nie zbraknie przecie na człowieku, któremu to co inni cenią, ukaże się pospolitą i niecenną. Lecz i wtedy musi on jeszcze głupcom schlebiać, uśmiechać się, gdy oni się uśmiechają, i radość obłudnie udawać, gdy płakaćby pragnął. Jedyną dla mnie pociechą w mém utrapieniu było to, że dusza moja cierpi w skrytości, że nieczyje ucho nie pasie się jej żałobą, że nikt nie pochwyił jej cichych pragnień. Czy zasłuży na cześć ogłupiałego świata, czy też sięgnę na się jego zajadłą nienawiść, wszystko mi jedno; zawsze samotny, pójdę po nieutorowanej przez innych drodze.“

W inném miejscu wyznaje sam, że gwiazda piękna przyświecała drodze jego życia, dodając że niedorzecznością byłoby zasadać piękno na zmysłowych formach, udziela ono bowiem zdrowemu duchowi skrzydeł, wznoszących go ku Bogu. Ztąd nigdy niezaspokojona tęsknota widnieje w całym życiu i działalności tego wielkiego męża, tęsknota za miłością, za ideałem piękna, za wiecznością. Nie daje ona mu nigdy trwałego spokoju, lecz za to wznosi go ponad drobiazgowość i powszedniość życia.

Najszcześniejszym czuł się Michał Anioł wtedy, gdy trzymając młot i dłuto w ręku, przekształcał śmiałymi uderzeniami martwy kamień w pełną życia postać. Ażeby poznać budowę ciała ludzkiego, odbywał najgruntowniejsze studia anatomiczne, przez które nabrał upodobania w przedstawianiu rozlicznych odmian form ciała, zmieniających się wraz z postawą. Dla odtworzenia z całą potęgą pragnień i uczuć własnego ducha, potrzebował odpowiednio kształtować formy ciała ludzkiego; mięśnie przeto, wskutek silnego wyprężenia członków, występują u niego wybitniej niż zwykle, nagie ciało przybiera herkulesowe wymiary, czoło i kości oczodołu daleko ostrzej sterczą, niż w naturze. Za pierwowzór służyły mu rzymskie płaskorzeźby, z ich malowniczym bogactwem figur i twory greckiej rzeźby z epoki późniejszej od Laokoona. Potęgą przechodzi często u niego w gwałtowność, w nienaturalność; zamiast działać naiwnym powabem, który swym spokojem pociąga i zadowala widza, artysta stara się przeciwnie owładnąć go i wstrząsnąć tém, czego nigdy nie widział. Słusznie powiada Burckhardt, że bardzo wiele postaci Michała Anioła wywołuje na pierwszy rzut oka wrażenie skrzepowanych olbrzymów, nie zaś zolbrzymionych ludzi. Jego środki artystyczne czerpane są z najwyższych sfer sztuki, napróbnobyśmy tam szukali choć jednego powabnego i pieszczotliwego szczegółu, napróżno dopatrywalibyśmy łagodnego spokoju ducha i ponętnego wdzięku; w miejsce szczegółów daje on widzowi wspaniały, na wielką skalę traktowany plan, zapelniony plastycznymi kontrastami, w których za motywa służą gwałtowne ruchy. Zbyt wiele wewnętrznych walk i bólów przelęwa w każdej postaci, ażeby mógł okazać się względniejszym dla widza. Powabna młodość, słodka pieszczotliwość nigdy nie pozwoliłyby wypowiedzieć tego, co chciał wyrazić Prometeuszem. Już współczesni czuli tę grozę, tę przyniciatającą potęgę wzniosłych dzieł mistrza, którego ztąd nazywali *terribile*. (Dalszy ciąg nastąpi).

Serbowie, jak wiadomo, należą do wielkiej gromady ludów słowiańskich, zajmujących wschodnią i wschodnio-południową Europę. W gromadzie tej wyróżniają się dwie główne grupy, których odrębność uwydatnia się po części różnicami językowymi: grupę zachodnią składają Czesi, Polacy i Słowacy, wraz ze szczątkami Sorabów czyli Sorbów, nad Łabą niegdyś osiadłych, oraz Polaków; grupa zaś wschodnio-południowa dzieli się na gałąź wschodnią właściwą, obejmującą Rosyjan i szczepy małopolskie czyli rusińskie, i na gałąź południową, do której należą Słowienicy, Serbowie, Chorwaci (Kroaci) i Bulgarowie. Wielu badaczy łączy Serbów z Chorwatami w jeden szczep i to nie bez słuszności, gdyż jedni i drudzy pod względem etnograficznym jeden naród stanowią, a nawet i co do języka różnią się między sobą tyle tylko, ile na przykład wieśniak z pod Krakowa od wieśniaka z okolic Poznania.

Słowienicy osiedleni są w Karynty i Karnioli; liczą ich na 1,210,000 dusz. Chorwatów jest 1,350,000, z czego 100,000 przypada na tak zwaną Kroację turecką; większa część jednak Chorwatów, równie jak wszyscy Słowienicy, należy do monarchii austro-węgierskiej, do której w r. 1815 przyłączeni także zostali Dalmacy, czyli Dalmatyńcy, osiedleni nad Adryatykiem w liczbie 425,000. Dalmacy, pod względem narodowościowym, stanowią jedną całość z Serbami i Kroatami; różnice obyczajów i języka tych trzech ludów są małoznaczne. Co się tyczy plemion nadających im swoje miano ogólne Serbów, terozdzielone są jak następuje: 1,150,000 składa ludność dzisiejszego księstwa serbskiego; 200,000 zamieszkuje Hercegowinę; 800,000 Bośnią; 120,000 Rasyą (Nowy-Bazar) oraz starą Serbią (Iszek, Prystynę, Prizrend) podległe Turcyi; 200,000 stanowi ludność Czarnogórza; wreszcie 1,000,000 należy do korony św. Szczepana i zaludnia Sławonią, Syrmią, oraz część Węgier.

Wskazówek antropologicznych o ludach serbochorwackich posiadamy bardzo mało. Tyle tylko wiadomo na pewno, że należą do rasy krótkogłowej. Oczy i włosy mają wogóle czarne, rysy wydatne, nos orli, wzrost średni lub wysoki. Liczniejszych zato i dokładniejszych wskazówek dostarcza nam lingwistyka. Obszar, na którym brzmią dźwięki mowy serbskiej, jest, jak widzieliśmy na początku, nader rozległy; mowy tej używa blisko sześć milionów ludzi, a rozwój jej literacki, osiągnięty w ciągu bieżącego stulecia, podnosi ją wytrwale ku poziomowi innych języków grupy słowiańskiej. Lubo narzecze prowincjonalnych jest spora liczba, jednak właściwie istnieją tylko trzy główne, a i te tak mało różnią się od siebie, że mieszkaniec Istrii może przejść do środka półwyspu bałkańskiego, albo przebyć całą przestrzeń od Adryatyku do brzegów Timoku lub Morawy, a wszędzie mowę jego rozumieć będą. Trzy główne narzecza pod względem geograficznym rozdzielone są w sposób następujący: zachodnie używane jest w Istrii, południowe w Dalmacji, wschodnie w Serbii i kmitatach węgierskich, zaludnionych przez Serbów. Główną między nimi różnicę stanowi zamiana samogłoski *e* na *i*. Tak np. wyrazy: *bela reka* (biała rzeka) wymawiają się w ten sposób w narzeczu wschodniem, to jest w Belgradzie i nad brzegami Dunaju; natomiast w narzeczu południowem, w Cetyunii lub Dubrowniku, też same wyrazy wymawiają się *bila rieka*, a w Istrii *bila rika*.

Postęp literatury opóźniają i tamują dwa prądy, od dawnych czasów w odmiennych dążących kierunkach. Jeden prąd bierze początek w Białogrodzie, drugi w Zagrzebiu. Wskutek rozdziału religijnego, który Serbów zwrócił ku kościołowi wschodniemu, a Chorwatów ku katolicyzmowi, pierwsi przyjęli kirylicę, a drudzy alfabet łaciński. Ztąd dla ludów jednego szczepu i języka wywiązała się przeszkoda, dziś już głęboko zakorzeniona, która z wielkimi tylko trudnościami da się może kiedyś usunąć.

W krótkim zarysie niniejszym pominiemy zupełnie Chorwatów, a zajmiemy się wyłącznie Serbami, zwłaszcza tymi, którzy zamieszkują księstwo i prowincję podległe Turcyi.

Podstawą narodowej literatury serbskiej są pieśni ludowe. Odrodzenie literatury datuje się od chwili, w której Wuk Stefanowicz zebrał i wydał większą część owych pieśni. Przed tą epoką język literacki był tu dziwną mieszaniną starobułgarskiego i słowiańskiego cerkiewnego języka, zaszczerpioną na pierwiastkach narzecza żyjącego, ludowego, którem pogardzano, jako mową motłochu. Dopiero Wuk Stefanowicz półwiekowym trudem wywalczył dla rzeczywistego serbskiego języka należne stanowisko. Narzecze wschodnie, wskutek długiego stykania się ludności z muzułmanami, zakażone zostało mnóstwem wyrazów tureckich. Obecnie zaś, w braku własnych, Serbowie przyswajają sobie nomenklatury naukowe i literackie, zaczerpnięte z języka francuzkiego lub niemieckiego, a dawny język piśmienny, z którego istnieją zabytki sięgające XIII wieku, poszedł w najzupełniejsze zapomnienie. Prace gramatyczne i historyczne Daniczycy, Jagicza, Boszkowicza, Stojana Nowakowicza posunęły o wiele naprzód wykształcenie mowy serbskiej, a oprócz tego usiłowano w tymże celu założyć narodowe teatry w Białogrodzie i w Nowym-Sadzie, głównej siedzibie Serbów węgierskich. Najulubieńszą treścią dzieł scenicznych są epizody z historii Serbii, lub zaczerpane z podań ludów opisy czynów bohaterskich hajduków bośniackich. Praca w dziedzinie naukowej stoi na stopniu daleko niższym i lubo uniwersytet białogrodzki posiada zdolnych profesorów i gorliwych słuchaczy, jednakże dotąd żaden Serb nie odznaczył się twórczością na polu wiedzy. Cały ruch umysłowy skierowany jest do poszukiwań i badań nad przeszłością kraju i kwestya początku ludów słowiańskich zajmuje gorąco najpierwsze siły naukowe serbskie.

Jakkolwiek Serbowie osiedlili się na półwyspie bałkańskim niewieźniej jak około VII wieku, jednakże wielu historyków zadawało sobie pytanie, czy i przedtém, w zamierzchłej starożytności, te same obszary nie były już przez Słowian zamieszkałe. Utrzymywano że Illirjczycy i Dalmacy, o których wspominają klasycy, byli Słowianami, i na dowód przytaczano Wendów, osiadłych w tamtej stronie. Są to jednak hipotezy, z których trudno trwałą teorią zbudować. Toż samo powiemy i o nazwie *Pannonii*, którą wyprowadzono od wyrazu *pan* i chciano tym sposobem oznaczyć krainę, która w czasie najazdów rzymskich zamieszkaną była i rządzoną przez szlachtę, przez panów udzielnych, naksztalt feudalnych władców niemieckich w średnich wiekach. Taka etymologia, jak i wszystkie jej podobne, fantastyczną jest i zawodną; badacze poważni mogą ją poczytywać tylko za mniej lub więcej dowcipną igraszkę językową. Do tej samej wreszcie kategorii zaliczamy usiłowanie utożsamienia Serbów ze *Sporami*, o których wspomina Prokop; chciano dowieść, że pisarz bizantyński, przez niedosłyszanie lub nieznaną rzecz, nazwę Serbów przekształcił na *Sporów*.

Podług dzieł Szafarzyka, Hilferdinga, Jowanowicza i t. d., początki narodu serbskiego przedstawiają się jak następuje.

Przed erą chrześcijańską Słowianie zamieszkiwali obszerne przestrzenie między Bałtykiem, Karpatami, Wolgą i morzem azowskim, przez niektóre zaś rozgałęzienia swego szczepu stykali się z pierwotną swoją ojczyzną azyatycką. W czwartym wieku przejście barbarzyńców, którzy owładnęli państwem rzymskim, wstrząsnęło silnie plemionami słowiańskimi i niektóre z nich porwane zostały tym prądem. Jedne pokolenia skierowały się ku północy, inne na południo-zachód i w doliny naddunajskie, inne znowu przeniosły się do Pannonii i Illiryi, to jest między Adryatykiem i Karpaty. Około roku 449 niektóre pokolenia słowiańskie podążyły za Attylą i zawładnęły Dalmacją. Od początku VI wieku widziemy Słowian osiedlonych w Dardanii, obejmującej dzisiejszą Serbią południową, oraz okęgi Niszu, Usku-

pu, Prizrendu i t. d. Wśród tych-to Słowian zrodzili się cesarze wschodni Justyn i Justynian, których imiona są dosłownym przetłumaczeniem wyrazu słowiańskiego *uprawda*, oraz wojownicy tacy jak Belizar (*Weli-car*), Dobrogost i t. d. W ciągu tegoż wieku i inni Słowianie, niepodlegający władzy Byzancjum, napadali na cesarstwo i zdobywali prowincje, posuwając się aż do Dyrachium (Durazzo) w Epirze, do Saloniki i morza egejskiego. Lecz właściwi Serbowie i Chorwaci byli podówczas jeszcze mieszkańcami okolic podkarpaccich; starożytni Serbowie zamieszkiwali Serbią-Białą, zwaną Bojką (*), między Wisłą, Dniestrem i Prutem. Dopiero w VII wieku opuścili te strony, a wkrótce za nimi wynieśli się i Chorwaci, których Herakliusz wezwał na pomoc przeciwko Awarom, pustoszącym cesarstwo greckie. Wielu Serbów jednakże pozostało w Bojcie, pod zwierzchnictwem władcy, *krala*; wychodźcami zaś, podzielonymi na kilka oddziałów, dowodzili książęta z rodziny królewskiej, noszący miano *županów*. Herakliusz obdarzył ich ziemią w prowincyi Salonice, gdzie zbudowali warownię *Srbica*, nad rzeką Indže-Kara-Su, w Macedonii. Lecz wprędce kraina ta sprzykrzyła się Serbom i postanowili wrócić na dawne siedziby. Nie opierano się ich wyjściu; ale stanawszy nad Dunajem, Serbowie zmienili zamiar i zwrócili się do namiestnika cesarskiego, mieszkającego w warowni *Singidunum* (dzisiejszym Białogrodzie), z prośbą aby im nowe ziemie rozdano. Żądanie to mile zostało przyjęte i nadano im obszary położone na zachód od krainy zajętej przez pobratymczych Chorwatów. Posiadłości serbskie rozciągały się wówczas od Werbasu, stanowiącego granicę zachodnią, do Ibaru, będącego granicą wschodnią, a na południe, stykając się z siedzibami chorwackimi, dobiegały przy Antivari aż do Adryatyku. Widocznym jest, że osiedlając się w tych stronach, Serbowie uzyskali przewagę nad pokoleniami słowiańskimi, które, jak wspomnieliśmy wyżej, już w wiekach poprzednich osiedliły się tutaj. Następnie Serbowie rozdzielili się na dwie gałęzie: północno-wschodnią, która zajmowała dzisiejszą Serbią, część Bośni i Rascyą (dziś okrąg nowo-bazarski) i południowo-zachodnią, dzisiejszą Hercegowinę, Czarnogórze i Dalmacyą południową. Wszystkie te kraje rozpadły się później na dzielnice następujące:

Neretwa, na północ od Narenty, w Hercegowinie.

Pagania, między Trebinją i Narentą.

Chum, dokoła Mostaru.

Trawonia w Hercegowinie.

Ceta, czyli Czarnogórze i doliny przyległe.

Bośnia.

Serbia.

Prewalia, czyli Staroserbia.

Konawlia, w Dalmacyi.

Dioklea, w Dalmacyi.

Dalmacya chorwacka rozpoczynała się na wschód od ujścia Narenty.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiktor Cherbuliez.

przez Karola Bigot.

Tazebaby mieć dużo dowcipu, żeby mówić jak się należy o panu Wiktorze Cherbuliez, i to najbystrzejszego, najdelikatniejszego dowcipu. A nawet czyby wystarczał sam dowcip, mimo całej giętkości, jaką mu przypisują? Pozwalam sobie o tém wątpić. Trzebaby jeszcze do tego imaginacyi, swobody umysłu i sporęj dozy tego czegoś, co nazywamy fantazyą. Z panem Cherbuliez zdrowy rozsądek, choćby niewiedzieć jak przenikliwy, nie na wieleby się przydał. Proszę spróbować ująć

(*) Po dziś dzień w Galicyi nazywają Bojkami wieśniaków, przybywających każdej jesieni z po za Karpat i handlujących owocami. (Przyp. tłum.)

w formuły ten talent tak ruchliwy, tak rozmaity, który wymyka się w chwili, gdy sądzisz żeś go pochwylił. On już stworzony jest tak, że się przemknie przez wszystkie sidła krytyki, a jeżeliby kto i znalazł się dość gęstą, żeby go w niej zamknąć, ostrzegam go, że nie będzie miał z tego wielkiej pociechy. Będzie to historia motyla, stworzonego na to, żeby sobie latał to w prawo, to w lewo, według kaprysu i instynktu, motyla którego nie można uchwycić w palce, żeby różnobarwny pyłek na jego skrzydłach nie stał się i nie zniknął. Biada temu, kto by go chciał wziąć pod analizę lub sekyę! Obawiam się, żeby nie był dla niego zbyt surowym i zbyt niesprawiedliwym zarazem.

Pisarz, który zrobić zechce dobry portret pana Wiktora Cherbuliez, będzie musiał posiadać sporą dozę tego samego rodzaju talentu, jaki posiada jego model. Zajmie się daleko więcej fizjognomią, aniżeli szczegółowemi rysami, a podobieństwa szukać będzie więcej w wyrazie, aniżeli w kształtach. Stanie się więcej kolorystą, niżeli rysownikiem; nie będzie się ubiegał o to, żeby być systematycznym i poprawnym. Trzeba będzie żeby krytyk ten miał w sobie bardzo silne poczucie literackich zdolności autora, żeby go czytał jako amator, nie jako krytyk, poddając się wrażeniom, a strzegąc się robić notaty. Nie będzie myślał o zbudowaniu pięknego planu dydaktycznego, a jeśli mu się jaki plan nastęrczy, odpędzi go czémprędzej daleko od siebie. Puści pióro na wolę przypadku, wybierając raczej wązkie ścieżki, aniżeli szerokie gościńce, zapuszczając się w manowce i perswadując sobie, że na tym ziemskim padole człowiek zawsze dojść gdzieś musi. Będzie się strzegł ogólnych teoryj, a jeśli mu się zdarzy stworzyć jaką, to nie będzie się jej trzymał nadto. Użyje języka jaknajprostszego, tonu jaknajłżejszej pogadanki, a jeżeli mu się uda zyskać opiekę jakiejś dobrej wróżki, jeżeli trafi na jeden z tych dni szczęśliwych, w których umysł jest wesoły, humor dobry, werwa na zawołanie; jeżeli umie błąkać się, a nie zabłądzić, jeżeli dzień ten przypadnie na jedną z tych chwil na początku wiosny, kiedy to słońce się uśmiecha, kiedy listki i trawy pierwszą okrywają się zielenią, kiedy powietrze jest lekkie, kiedy jaskółki, świegocąc muskają ziemię w polocie—może mieć niejaką szansę, że powie więcej to, co trzeba powiedzieć. Jeżeli nie, to niech rzuci w ogień swoje prace i niech zaczyna nanowo.

Albo się bardzo myślę, albo pan Cherbuliez sam tak sobie mniej więcej począł. Nie zdaje mi on się należeć do tych, co zanim ujmą za pióro i zaczęną pisać swoje romanse, robią wprzód porządną szkic dla samych siebie i układają na papierze scenariusz swojej książki. Tutaj scena miłosna, tam opis, ówdzie portret, tam znów opowiadanie, a tu rozmowa o interesach. Wszystko to jest uporządkowane naprzód, prawie stronica po stronicę, *ne varietur*. Mogliby złożyć plan swój u notaryusza, żeby dowieść niedowiarkom, jak dalece są niewzruszonymi wobec samych siebie. Mogliby umrzeć w połowie jakiejś pracy, a lada sekretarz mógłby dzieło dociągnąć do końca. Tylko po szczegółach możnaby dostrzedz brak ręki głównego pracownika. Jestem naturalnie przekonany, że p. Cherbuliez uprzytomnia sobie ogólny obraz swego dzieła, że wie w jakim idzie kierunku; ale jeżeli dla orientowania się używa busoli, nie sądzę żeby się posługiwał mapami głównego sztabu, w celu przygotowania planu swojej kampanii. Nie powiedział on sobie nigdy, wskazując na wieś Marengo: „Tam pobije tego biednego Melas'a.“ On wie tylko tyle, że go gdzieś pobije, a o to też w gruncie rzeczy tylko idzie.

Są romansopisarze-strategicy, którzy nie ruszą z miejsca, dopóki wszelakich nie przedsięwzją ostrożności i nie zabezpieczą się od tyłu. Każdy potrafi ich wymienić na poczekaniu, bez mojego w tém udziału, a zresztą może oni są nawet prawdziwymi mistrzami. U nich niema ani jednego szczegółu na los szczęścia rzuconego, i dosyć odczytać wstęp do której ich książki, żeby zobaczyć

dokąd zacierają. Oni przygotowują wszystkie efekta, zapowiadają wszystkie sceny; umieją osłonić swoje fortele, stopniować interes, oszczędzają swoich sił, aby ich użyć w punktach wytycznych; wprowadzają w dzieła swoje zręczną rozmaitość. Wszyscy podziwiają piękny porządek architektoniczny w ich budowlach, a podczas gdy ludzie fachowi sławią umiejętną sztukę w ich kompozycjach, masa czytelników zostaje pod wpływem skończonego ich arcyzmu. Gdyby pan Dumas syn pisał jeszcze romanse, w ten sposóbby sobie poczynał.

Pan Cherbuliez wydaje mi się być bardziej awanturniczego usposobienia. Zaledwie uprzytomni sobie pierwsze sceny, naszkicuje głównych swoich działaczy, śmiało zaraz wyrusza w pochód. Rozpoczyna kampanią, gdy tylko pierwsze dywizye jego są gotowe, narażając się na to, że nieprzyjaciel może zająć niespodzianie jego armię, dopiero się formująca. Pani Sand, która trzymała się tegoż samego sposobu postępowania, opowiadała że częstokroć w połowie drogi—jest to własne jej wyrażenie—zdarzało jej się spotykać wielką górę, która jej przejście zagradzała. Nieraz stała tak przez dni kilka, nie mogąc posunąć się dalej; aż nareszcie przebyła górę, albo ją obeszła, a niekiedy przeskoczyła. Pan Cherbuliez spotyka także takie góry. Ale pochodzi on z kraju, w którym góry nie przestraszają, z kraju stromych jarów. Idzie wprost przed siebie, bez trwogi, bez wzruszenia, aż do samej zapory. Gdy stanie przed nią, bada, myśli, wyszukuje, gotów na wszystko, byle się nie cofać. Wkońcu przechodzi: źle czy dobrze, ale przechodzi. Przyznaje, że ma nogi góralskie i że częstokroć prowadzi czytelnika po ścieżkach tylko myśliwym przystępnych. Trzeba skakać z jednego szczytu na drugi, jak dzika koza, trzeba drapać się brzegiem przepaści, o zawrót głowy przyprawiających. Dostawczy się między nie, przysięgasz, że drugi raz nie poszedłbyś tam za żadne skarby świata; ale przewodnik tak jest śmiały, tak pewny siebie, iż nie pozostaje ci nic innego, tylko powierzyć mu się z zamkniętymi oczyma. On chwyta cię silnym ramieniem, i za chwilę widzisz się na płaszczynie i masz znów wielki obszar przed sobą, pełen żywych wód i drzew okrytych liściem. Macasz się i przekonujesz, że nie masz nic złamanego. Wszystko dokoła tak jest wesołe, że w najgorszym razie pozostaje ci tylko niby wspomnienie snu przerażającego, dopóki znów, jak poprzednio, drapać ci się nie przyjdzie.

W kraju pana Cherbuliez jest dużo gór, może nawet za dużo. Znam niejednego czytelnika, którego te niespodzianki zniechęcają w końcu. Intrygi jego nie straciłyby nic na większej nieco ciągłości i prawdopodobieństwie. W książkach jego ludzie chodzą, wracają, spotykają się, niewiadomo gdzie i jak. Umysł pozostaje daleko spokojniejszym przy czytaniu autorów systematycznych, o których mówiłem. Ten rodzaj niespodziany ma jednak swoje zalety. Nie jest-to historia, o której autor wie dobrze, że ją opowiada czytelnikowi, nie jest-to sztuka, którą on gra po raz setny. Każda z jego książek zajmuje jak pierwsza reprezentacya; sztuka jest nową dla wszystkich, poczynając od niego samego. On opowiada swoją historią jednocześnie i sobie i tobie, czytelniku; cieszy się nią, roznamiętnia się do niej, jest jej sercem i duszą oddany; jednocześnie z tobą zapoznaje się z jej postaciami, widzi je stopniowo rozwijające się i rosnące przed sobą; wraz z tobą spoufala się z niemi; zaczynając, nie wie, tak samo jak i ty, w jaką okolicę cię prowadzi: jest-to podróż za odkryciami. On, tak samo jak ty, doznaje wrażeń niespodzianych. I czyliż urok ten improwizacyi sam z siebie niewart wiele? Tak, zapewne, intryga wykluwa się po kilka razy, ale cóż to za powab w tej żywości pierwszych wrażeń, których ci każda stronica dostarcza!

(Dalszy ciąg nastąpi.)